D 01668 IV
BIBLIOTEKA INSTYTUTU MORSKIEGO W GDAŃSKU

Cena 1 zł

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok XI | Boże Narodzenie 1955 r. | Nr 51-52 (525-526)

Biblioteka
C IV 9013

BÓG WCIELONY

My — katolicy obchodzimy co rok uroczystość Bożego Narodzenia, ale czy wielu z nas zastanowiło się głębiej nad tym, co właściwie Boże Narodzenie oznacza, jaki jest istotny sens tej tajemnicy?

Boże Narodzenie jest związane z wcieleniem Syna Bożego. Bóg się narodził — to znaczy, że *Słowo* Przedwieczne, Syn Boży, *stało się ciałem*, nie przestając być tym, czym jest przedwiecznie, to jest Bogiem. Bóg się narodził — to znaczy, że Syn Boży w czasie przyjął na siebie naturę naszą i stał się człowiekiem i zamieszkał między nami, *„i widzieliśmy chwałę Jego, chwałę jako jednorodzonego od Ojca"*. (Jan I—14).

O tajemnicy wcielenia Syna Bożego mówi nam Skład Wiary św. Atanazego, że jest to *„wzięcie, albo przyjęcie człowieka w Boga", (assumptio humanitatis in Deum)*. Nie jest to zamiana Bóstwa w ciało, ani zamiana ciała w Bóstwo. Nie jest to zmieszanie dwu natur — boskiej i ludzkiej w jedną. Jest to *przyjęcie natury ludzkiej w jedność Osoby boskiej przedwiecznego Syna Bożego.*

Bóg się narodził — to znaczy, że Syn Boży wziął naturę człowieka, że przyjął ją w siebie. Bóg się narodził, to znaczy, że nowe Boże przyjęło duszę ludzką, a przez to przyjęło i ciało ludzkie ze wszystkimi przywiązanymi do nich niedostatkami, oprócz grzechu. (Por. *Symbolum Fidei Concilii Toletani).*

*

Dlaczego św. Jan Ewangelista w związku z tajemnicą Wcielenia, czyli Bożego Narodzenia mówi: *„A słowo ciałem się stało"*?

Wiemy, że św. Jan drugą Osobę Boską, Syna Bożego, nazywa Słowem Przedwiecznym czyli Logosem. Ta nazwa Logos znaczy słowo, mowa, oznajmienie, ale oznacza także początek tego oznajmienia, przyczynę tego skutku, źródło słowa jeszcze nie wypowiedzianego, a mającego się wypowiedzieć. Wyraz Logos oznacza siłę duchową w ogólności, objawienie ducha, oznacza ducha, objawiającego siebie. A ponieważ Bóg jest Duchem, prawdziwie zatem Bóg objawiający siebie, czyli Syn Boży, jest Logosem.

Nazywając Syna Bożego Słowem Przedwiecznym, Logosem, św. Jan Ew. podkreśla, że przez tę nazwę należy rozumieć Tego, który ma byt bezwzględny i od początku, który w wiecznym jest związku z Bogiem Ojcem. Św. Jan mówi: *„Na początku było Słowo, a Słowo było u Boga, a Bogiem było Słowo... Wszystko się przez nie stało. W nim był żywot, a żywot był światłością ludzi... A Słowo ciałem się stało i mieszkało między nami"*. (Jan I. 1, 3, 4, 14).

W tych zdaniach św. Jan na początku swej Ewangelii zawarł w streszczeniu tajemnicę Boga Wcielonego, tajemnicę Bożego Narodzenia.

*

Jeżeli mówimy: Bóg się narodził — to znaczy chcemy wyrazić, że Syn Boży od czasu wcielenia swego jest zarazem Bogiem i człowiekiem, że ma *dwie natury* — naturę boską, przez którą jest Bogiem, jak jego Ojciec i tym samym co jego Ojciec — i że ma naturę ludzką, przez którą jest człowiekiem, takim jak my.

Obie te natury w Jezusie były doskonale *odrębne* jedna od drugiej, bez żadnego umniejszenia ani zmieszania. Tak były z sobą złączone, że w Chrystusie *dwojaki był umysł*. Był *boski umysł* Syna Bożego, który w zupełności zna i widzi samego siebie i wszystkie rzeczy, które są albo stać się mogą wszechmocną potęgą Jego. Był także *umysł ludzki*, obejmujący w sobie wszystką wiedzę, do jakiej skończony umysł człowieka jest zdolny. (Por. *Epist. Agathonis et Rom. Synodi ad Conc. Oecum. IV).*

Nadto Pan Jezus miał *dwojaką wolę*. Była w nim przedwiecznie *wola boska*, która jest miłością i mądrością Boga, działająca w niewzruszonej harmonii swoich doskonałości. I była w Nim także *wola ludzka*, podobna do tej woli naszej, która jest źródłem i początkiem uczynków naszych. I obie te wole tak doskonale były zgodne ze sobą, jakby dwie nuty jednego akordu. Gdy Zbawiciel w Ogrójcu oliwnym rzekł: *„Ojcze, jeśli chcesz, przenieś ode mnie ten kielich"* — mówił według woli ludzkiej, lecz zaraz ją oddaje pod wolę boską: *„A wszakże nie moja wola, ale twoja niechaj się stanie"*. (Łuk. XXII - 42). (Por. *Definitio Synodi VI Const.* III. A.D. 680).

*

W chwili Wcielenia, Osoba boska przybrała sobie naturę ludzką w ten sposób, że udzieliła jej swojej samoistości i swojego istnienia boskiego — i tym jednym istnieniem boskim, istnieje Chrystus tak w swej naturze boskiej, jak i ludzkiej.

Mimo dwoistości natur Chrystus jest jeden, bo jedna w nim jest Osoba. Ludzka natura Chrystusa od chwili Wcielenia zaczęła istnieć istnieniem boskim. Obydwie natury pozostały niezmienione, każda zachowała właściwą sobie istotę, czyli byt istoty *(esse essentiae)*. Złączyły się obydwie te natury w boskiej Osobie Słowa Wcielonego jednym i tym samym odwiecznym istnieniem boskim, którym od wieków istniało to Słowo. (Por. *Paul Galtier. L'Unité du Christ. Paris. 1939).*

Z chwilą połączenia się ludzkiej natury Chrystusa z Osobą boską, Chrystus nie otrzymał nowego istnienia, tylko zaszedł w Nim *nowy stosunek Osoby boskiej do natury ludzkiej*. Od chwili połączenia istnienie Osoby boskiej obejmuje nie tylko naturę boską, ale i ludzką. Jest więc w Chrystusie jedno tylko istnienie (Por. *Héris. Le Verbe incarné* t. III.)

*

Taka jest nauka Kościoła o tajemnicy Wcielenia, o Bożym Narodzeniu, o naturze ludzkiej Chrystusa, która została wyniesiona na najwyższy poziom, bo do osobowego zjednoczenia z Bóstwem. Przez tę łaskę zjednoczenia osobowego nastąpiło uświęcenie natury ludzkiej Chrystusa. Owa wspólnota łaski, wiążąca Słowo Przedwieczne, Logos, z naturą ludzką Jezusa była czynnikiem nierozerwalnym: towarzyszyła ona Chrystusowi w ciągu Jego ziemskiego życia.

Osoba Chrystusa przez te łaskę zespolenia natury ludzkiej z życiem Bożym stała się idealnym urzeczywistnieniem ekonomii boskiej na drodze Odkupienia. Rezultat tutaj był dwojaki: od strony Boga — Wcielenie Słowa Bożego stało się źródłem, z którego największe łaski Boże obficie spłynęły na stworzenie. Od strony stworzenia — ciążenie błogosławionego człowieczeństwa Chrystusowego ku Bogu znalazło w ziemskim życiu Chrystusa swe najgłębsze urzeczywistnienie. (Por. *Salm. „De incarnatione")*.

*

Przez tajemnicę Słowa Wcielonego, przez Boże Narodzenie w szczególniejszy sposób *poznajemy Boga*. W jaki bowiem sposób Syn Boży objawia nam Ojca? Przez swe Wcielenie. Słowo odwieczne stało się człowiekiem — i w Nim i przez Niego poznajemy Boga.

Chrystus — to Bóg *uprzystępniony pod ludzką postacią*, to boska doskonałość objawiająca się nam w ziemskich kształtach, to świętość sama, żyjąca przez 33 lata na oczach ludzkich. Kiedy więc myślimy o Bożym Narodzeniu, o ubogiej dziecinie w żłobku ubogim, przypominamy sobie Jego zdanie: *„Kto mnie widzi, widzi i Ojca"*.

*

Tajemnica Bożego Narodzenia nasuwa nam i tę myśl, że Słowo Wcielone, Syn Boży jest również Synem Człowieczym, człowiekiem w całym tego słowa znaczeniu. Jest to *Człowiek doskonały*.

Natura bowiem ludzka Chrystusa jest we wszystkim podobna do naszej. Św. Paweł o Chrystusie mówi: *„Skąd powinien był we wszystkim być podobny do braci: aby się stał miłosiernym i wiernym, najwyższym kapłanem do Boga, aby ubłagał za grzechy ludu"*. (Żyd. II. — 17).

Natura ludzka Chrystusa jest podobna do naszej we wszystkim, prócz grzechu. Jezus nie znał grzechu, ani tego, co jest źródłem lub skutkiem grzechu, a więc niewiadomości i błędu — bo to są rzeczy niegodne Jego doskonałości. Nie ma jednak niczego w życiu ludzkim, czego by Jezus nie uświęcił: nasze prace i cierpienia, nasze łzy.

„Przypatrzmy się mu w Nazarecie: — mówi o Jezusie jako Człowieku pisarz francuski *Marmion* — przez 30 lat spędza swe życie na ciężkiej pracy rzemieślniczej tak, że kiedy zaczął nauczać, zdumieli się jego rodacy, bo znali go dotychczas tylko jako skromnego cieślę. *„Skądże temu ta mądrość?"* — pytają. *„Izali ten nie jest syn rzemieślniczy?"* (Mat. XIII-55).

Jezus odczuwał głód tak, jak i my: po czterdziestodniowym poście na puszczy łaknął. Cierpiał również pragnienie: czyż nie prosił Samarytanki: *Daj mi pić*, a na krzyżu, czyż nie wołał: *Pragnę*. Długie podróże po Ziemi św. męczyły Go; kiedy w południe spoczął przy studni Jakubowej i prosił o wodę, by ugasić pragnienie, powiada Ewangelista, że był „spracowany z drogi" (Jan IV—6). Pięknie mówi o tym św. Augustyn: *Fatigatur Virtus Dei* (Tract. in. Joan, XV) — to znaczy: Ten, który jest mocą samą, czuje się znużonym.

Sen zamykał Jezusowi powieki: spał rzeczywiście na łodzi, kiedy się burza zerwała, tak że Apostołowie w trwodze, by ich rozszalałe jezioro nie pochłonęło, musieli Go budzić.

Jezus płakał nad Jerozolimą, ojczyzną swoją, gdyż kochał ją mimo jej niewdzięczności. Płakał Jezus nad śmiercią Łazarza, tak, jak i my płaczemy nad drogimi sercu naszemu.

Zaznał Jezus smutku i lęku. Mówiąc o Jego modlitwie w Ogrójcu przed męką, Ewangelista Marek pisze: *„I począł się strachać i tęsknić sobie. I rzekł im: Smętna jest dusza moja aż do śmierci"*. (Mar. XIV, 34).

Wszystkie krzywdy, obelgi, zniewagi, policzki, którymi Jezusa obrzucano w czasie męki, sprawiały Mu ból niezmierny. Na drwiny i zniewagi nie był nieczuły. Przeciwnie, mając naturę doskonalszą, posiadał i wrażliwość o wiele większą i delikatniejszą.

Jezus wziął na siebie wszystkie słabości nasze i okazawszy się rzeczywistym człowiekiem, podobnym do nas we wszystkim prócz grzechu — chciał jak wszyscy synowie Adama, poddać się śmierci *„I skłoniwszy głowę, ducha oddał"*. (Jan XIX, 30).

*

Boże Narodzenie przypomina nam wreszcie znaczenie tajemnicy Wcielenia dla całej ludzkości, przypomina tę myśl, którą w Atenach przed zdumionymi słuchaczami rozwinął św. Paweł:

„Ktokolwiek ma źdźbło zrozumienia dla tego, czym była dla Europy starożytna Hellada — mówi ks. prof. *Konstanty Michalski* — ten ze wszystkich przemówień św. Pawła zapamięta przede wszystkim to, które wygłosił on w Atenach na wzgórzu Aresa w Areopagu. Paweł przemawiał tam jako Apostoł narodów o *znaczeniu tajemnicy Wcielenia dla całej ludzkości. Mówił o Wcielonym Logosie, który się stał Zbawcą wszystkich narodów.*

Jeżeliby zapytać, co przyniósł ludziom Logos Wcielony, to by trzeba chyba powiedzieć, że poza ukrzyżowaną i zbawczą miłością, jako własnym faktem ofiarnym, przyniósł On nowe prawo miłości, tej miłości, która się upracuje, umęczy i ubogaci *trudem całego życia.*

Mam nadzieję, że nie zgrzeszę przeciwko prawdzie, kiedy powiem, że Wcielone Słowo, jako Alfa i Omega, początek i koniec wszystkiego, odezwie się kiedyś na Sądzie Powszechnym: Byłem głodny, a daliście mi jeść, byłem nagi, a odzialiście mnie... Słowo Wcielone odezwie się tak nie tylko do miłosiernych, lecz i do *milionowych rzesz pracujących, bo one dają chleb, one przędą odzież na warsztatach, one są miazgą żywiącą narody.*"

*

Rozważając tajemnicę Bożego Narodzenia, tajemnicę Boga Wcielonego, pomyślmy o Jezusie jako o człowieku, a przez to jeszcze bliższy On nam się stanie. Pomyślmy, że Jezus pojawił się na ziemi jako człowiek z niewiasty narodzony i prawom natury poddany, że doświadczył wszystkich ludzkiego życia kolei i stał się nam we wszystkim podobny z wyjątkiem grzechu.

Ale pomyślmy zarazem, że ten sam Jezus Człowiek jest widzialnym obrazem Niewidzialnego, jest Mocą i Mądrością Ojca Przedwiecznego, jest jasnością chwały wiekuistego Jego Majestatu.

Rys. Gabriel Rechowicz

Z okazji Świąt Bożego Narodzenia i nadchodzącego Nowego Roku 1956 serdeczne życzenia wszystkim Czytelnikom, Współpracownikom i Sympatykom składa

REDAKCJA

Dm 59/05

ROK MINĄŁ, NADCHODZI ROK...

JANUSZ STEFANOWICZ

POD koniec roku w dziennikarzu — szczególnie tym od informacji zagranicznej — odzywa się niebezpiecznie dusza buchaltera. Robimy bilansik, kolego — i wydarzenia całego roku układają się ślicznie w dwa rządki, dobre po stronie „ma", złe po stronie „winien", potem się to podkreśla, sumuje, wyciąga saldo i wszystko jest O. K. Jeden tylko drobny mankament ma ta metoda: nie bardzo wiadomo, kto — poza najbliższą rodziną autora — przeczyta takie ładne, czyściutkie sprawozdanie. Usterka niewielka, oczywiście: ona jednak zaważyła na tym, że nie zrobimy bilansu. Natomiast...

Nikt z nas nie pije, prawda? Mimo to proponuję, abyśmy tak trochę, trzy małe lampki. Dlaczego właśnie trzy?

Pierwszy raz za... Nie tak szybko, najpierw posłuchajcie.

Byliście chyba na rewelacyjnym dla mnie filmie „Przed potopem". Rewelacyjnym między innymi i dlatego, że tak wstrząsająco ukazał psychozę, której świat zachodni ulegał w okresie wybuchu wojny koreańskiej. Zimna wojna miała zamienić się w gorącą. Na dni, na godziny liczono jej nadejście. Niebezpieczeństwo płynące z Korei minęło. Ale w ostatniej scenie filmu sprzedawcy gazet wykrzykują o możliwości nowego konfliktu. Widmo potopu nie opuszczało nas przez lata, czasem o krok, czasem dalsze, ale nigdy nie odpędzone całkowicie. I nagle, na wiosnę 1955 roku opinia publiczna Zachodu dowiedziała się, że to, czego spodziewano się prawie z pewnością, stało się nierealne. Nie dlatego — niestety — iż tamtejsze koła rządzące zmieniły niespodzianie swe poglądy. Po prostu technika wydała werdykt — „W wojnie termojądrowej nie ma zwycięzcy". Werdykt ten rozgłoszono prawie równocześnie po obu stronach oceanu. 1 marca premier Churchill oświadcza w Izbie Gmin, że w najbliższej przyszłości oba obozy osiągną taki stopień „nasycenia" bronią termojądrową, iż każdy z nich będzie w stanie zniszczyć przeciwnika i wszelkie nadwyżki staną się jedynie pozycjami matematycznymi bez znaczenia dla losów wojny. Na drugi dzień potwierdza to ostrożnie prezydent Eisenhower — „Nie wiadomo dokładnie, ile czasu będzie można utrzymać tę przewagę, przy czym wchodzi w grę inny czynnik — być może nadejdzie czas, gdy przodowanie nie będzie miało znaczenia w urządzeniach obronnych". To były pierwsze jaskółki wielkiego zwrotu.

Bo kiedy zrozumiano nonsensowność III wojny, groźny arsenał wielkiej dyplomacji „wolnego świata" zamienił się — jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki — w szopę „Chłopców z placu broni". Wspaniałe zawołania o masowym odwecie, bolesnej rewizji, czy pozycjach siły zaczęły się nadawać już tylko do zabawy w Indian. To prawda, że i dziś jeszcze je słyszymy, wypowiadane z zaskakującą powagą. Ale przecież w walce z czerwonoskórymi uczestnicy też nie zastanawiają się nad jej realnością. To by popsuło zabawę.

Ci jednak, którzy poważnie i trzeźwo patrzyli na sytuację światową — mówiąc „ci" mam na myśli zarówno opinię publiczną państw zachodnich, jak i niektórych przynajmniej przywódców tego obozu — uznali słusznie, że naturalną konsekwencją odrzucenia wojny *a limine* jest przerwanie stanu wyczekiwania na nią, stanu zwanego popularnie zimną wojną.

W ten sposób zrodziła się — a poród po tamtej stronie nie był łatwy — lipcowa konferencja genewska. Nie musimy przypominać, jakie odprężenie dało to spotkanie. Nie musimy przypominać, że z popiołów widma III wojny narodził się duch Genewy. Sceptyk powie w tej chwili — no, dobrze, a fiasko drugiej, roboczej Genewy? Cóż ono oznacza, jeśli nie powrót do dawnych, niedobrych czasów? Odpowiem mu po pierwsze, jak mój znajomy lekarz, specjalista od schorzeń wątroby replikował niecierpliwemu pacjentowi: „Czy myśli pan, że w ciągu kilku tygodni uda się panu wywinąć z tego, coś nabroił przez lata?" Odpowiem mu po drugie, że najmniej nawet zachęcający wynik rokowań nie oznacza „maszyny — wstecz!", bo taka komenda jest już dzisiaj po prostu niemożliwa dla żadnego dyplomaty, który nie chce popełnić politycznego samobójstwa. Odpowiem mu wreszcie, że największe nawet zachmurzenie nie przesłoni prawdy oczywistej — wojna między dwoma obozami stała się absurdem. Za to też wypijmy pierwszą lampkę, w podziękowaniu dla roku 1955.

A druga? Za szybkie tempo, znowu musicie poczekać. „Minął już czas, kiedy przyszłość Azji wytyczana była przez kraje nieazjatyckie. Obecnie 1,5 miliarda ludzi w Azji i Afryce zademonstruje światu, że wypowiada się za pokojem, a nie za wojną i że wszystkie swe siły rzuci na szalę pokoju. Konferencja nasza jest pierwszą międzykontynentalną konferencją ras kolorowych. Zebrane tu kraje złączone są wspólną nienawiścią do kolonializmu..." Tymi słowami prezydent Indonezji otwierał konferencję w Bandungu. Tymi słowami rok 1955 zaznaczył swe drugie osiągnięcie: wejście na arenę wielkiej polityki krajów, których do niedawna nie liczyło się nawet jako potencjonalnych uczestników czynnego życia międzynarodowego. W Bandungu postawiono generalnie sprawę niepodległego bytu narodów kolorowych. Niepodległego bytu, to znaczy walki o wolność tam, gdzie jej jeszcze nie ma. To znaczyło Maroko i Alger, Malaje i Kenia. Pierwsze owoce mamy już dzisiaj, w tym samym roku, w którym notujemy Bandung: powrót sułtana Ben Youssefa i stworzenie rządu marokańskiego jest z tą konferencją związane ściślej, niż to pozornie wygląda. Niepodległego bytu, to znaczy również niezależnej, zgodnej z interesami narodowymi polityki zagranicznej. Tu także Bandung wykazał się osiągnięciami w krótkim, bo półrocznym okresie. Prosta linia przebiega z miasta w dalekiej Indonezji do siedziby ONZ w Nowym Jorku, gdzie kraje arabskie głosowały jednolicie przeciw kolonializmowi w sprawie Maroka i Algeru. Prosta też linia biegnie z Bandungu do Kairu, gdzie premier Nasser zdecydował się na śmiały krok wyzwania gigantów, zakupując broń w Czechosłowacji.

Do rodziny narodów weszli nowi aktywni członkowie. I podobnie, jak w każdej rodzinie, „starzy" mają prawo zaniepokoić się w takim momencie — jacyż oni będą? Źli, kłótliwi, wojowniczy, czy też spokojni i wartościowi? Dobry czy zły nabytek? Tu jednak nie ma dylematu. Pierwsze wspólne wystąpienie było zarazem sformułowaniem polityki. Sformułowaniem zresztą jedynie możliwym: bo narody budzące się do życia, stojące przed perspektywą wspaniałego rozwoju, muszą z natury rzeczy chcieć pokoju; muszą wystąpić przeciw broni masowego zniszczenia; muszą znać wagę współpracy międzynarodowej i wartość bezinteresownej pomocy.

Wybrały więc samodzielność i pokój. Ten wybór pociągnął za sobą inny — wybór przyjaciół. I na to nie trzeba było długo czekać. Dokonano go szybko, jeszcze u schyłku 1955 roku. Indie, Burma i Afganistan przyjęły przywódców radzieckich z radością tak szczerą, że nie ma miejsca na wątpliwości, czyja polityka, czyja współpraca i czyje poparcie odpowiada ich narodowym interesom.

Za przebudzenie narodów Azji i Afryki, za przebudzenie dobre i jasne, za nową wiosnę ludów, za ich mądre widzenie właściwej drogi — wypijmy po raz drugi.

Trzecią lampkę godzi się wychylić za nasz obóz.

Na Zachodzie wpatrywano się w hipnotyzującą apokaliptyczną wizję nowego konfliktu. Na Zachodzie rządy wmawiały trochę sobie, ale głównie swoim narodom, że ze Związkiem Radzieckim nie można się porozumieć. Ze wzrokiem utkwionym w obraz potopu, z gestem beznajdziejności ministrowie mówili umęczonym głosem: „Wiemy, że jest wiele spraw — wielkich i małych — do załatwienia z Rosją. Ale cóż, nie ma z kim rozmawiać". Pod tym hasłem nie ruszano niczego: konwencja, dotycząca obrotu pocztowego czy długości fal radiowych, leżała nieuzgodniona tak samo, jak problem zjednoczenia Niemiec. A chociaż przestano wierzyć w wojnę, postawa została. Inicjatywę musiał przejąć Związek Radziecki.

I nagle niespodzianka. Sprawa, która wlokła się zabójczo od dziesięciu lat, załatwiona została wprost znienacka. W pierwszej połowie kwietnia rząd radziecki zaprosił do Moskwy kanclerza Austrii Raaba. Ku udanemu zdumieniu Zachodu okazało się, że nie ma żadnych nieprzezwyciężonych rozbieżności. Niepodległość Austrii została uzgodniona w ciągu kilku tygodni; pierwszy problem międzynarodowy, rozwiązany od dni Poczdamu.

Po raz drugi inicjatywa wobec świata zachodniego wyszła w postaci zaproszenia kanclerza Adenauera do Moskwy. I znowu, wbrew najbardziej pesymistycznym przewidywaniom prasy zachodniej, osiągnięto sukces. Realistyczna ocena sytuacji w Niemczech przez Związek Radziecki i napór opinii publicznej w NRF doprowadziły do normalizacji stosunków między tymi państwami.

Wiele lat niedobre były stosunki z Jugosławią. Śmiała inicjatywa ZSRR naprawiła je w ciągu jednej wizyty. Opinia świata zachodniego przekonała się znowu, że nie ma spraw nie do załatwienia, że „państwo, z którym nie można rozmawiać", potrafi nawiązać zdrowe, przyjazne stosunki z każdym narodem.

Za te osiągnięcia kontrofensywy pokoju wypijmy po raz trzeci.

*

No, a teraz, moi drodzy, popatrzmy w przyszłość — jakie sprawy czekają rozwiązania w nadchodzącym roku?

Nie będziemy sobie stawiać kabały, zręczniej robią to Cyganki: ja nie mam ani cekinów, ani nawet dostatecznie brudnej talii kart. A z gwiazd — po prostu nie umiem. Na szczęście jednak nie gwiazdy, a kalendarz polityczny ukazują nam zasadniczy szkielet wydarzeń roku 1956.

Tak więc, na początku roku notujemy dwie daty, mające niewątpliwe znaczenie dla sformułowania wyjściowych pozycji obu stron do nowych rokowań. 30 stycznia premier Eden jedzie do Waszyngtonu, gdzie omówić ma z prezydentem Eisenhowerem stanowisko tych dwóch mocarstw wobec Związku Radzieckiego. 14 lutego odbędzie się XX zjazd Komunistycznej Partii Z. R., który z pewnością podsumuje doświadczenia ostatniego okresu i wykreśli wytyczne polityki zagranicznej. Te dwa stanowiska skonfrontują się przede wszystkim w osobistym spotkaniu premierów W. Brytanii i ZSRR w czasie kwietniowej wizyty Bułganina w Londynie. Potem najpewniej (to już nie kalendarz, a próba logicznego rozumowania) odbędzie się gdzieś w lecie konferencja czterech. Genewa jest podobno bardzo ładna w tym czasie, a Pałac Narodów doskonale przystosowany do podobnych spotkań, więc chyba znowu rząd szwajcarski przejmie na siebie miłe, ale nieco uciążliwe obowiązki gospodarza, a prezydent Szwajcarii wyda galowy obiad dla uczestników konferencji. Wreszcie, w listopadzie mamy wybory w Stanach Zjednoczonych, które znowu określą linię ich polityki zagranicznej na kilka lat.

To są formy, w których skulminuje się życie międzynarodowe przyszłego roku — o ile oczywiście nie zdarzą się i inne. Jakąż chcielibyśmy włożyć w nie treść, innymi słowy mówiąc, cóż pozostaje do załatwienia?

To pewne, że bardzo dużo. Rok, który się kończy, wyrzucił wojnę poza nawias. Ale — terra est omnis divisa in partes duo, jakby powiedział Cezar. I tego faktu istnienia obok siebie obozu socjalistycznego i kapitalistycznego nikt poza nawias nie wyrzuci. Współistnienie jest rzeczą nieuniknioną; problem — jakie współistnienie. Ostatnio, szczególnie po mizernych wynikach drugiej Genewy, prasa zachodnia ukuła nowy termin, zastępujący „zimną wojnę" — „zimny pokój"! Różnica w intencjach niewątpliwa: zimna wojna prowadzić miała do wojny gorącej, zimny pokój... już tylko do zimnego pokoju. Ale w praktyce? W praktyce i to, i to oznacza chęć powrotu do lodowej atmosfery minionych dni. Do letargicznego podejścia do palących problemów międzynarodowych, do niezbyt poważnego, ale irytującego potrząsania szabelką, do opuszczenia żelaznej kurtyny. I trudno się doprawdy pocieszać z kolei — „Nic nie szkodzi, i tak wojny nie będzie".

Trudno w takim stwierdzeniu znajdować spokój i radość. Dlatego chcielibyśmy, by nadchodzący rok był dalszym członem logicznego rozumowania. „Nie będzie wojny" — powiedział rok 1955; „wobec tego współżyjmy rozsądnie i w przyjaźni, a nie w zimnym pokoju" — powinien powiedzieć rok 1956.

Cóż na to potrzeba? Potrzeba przede wszystkim tego, czego nie widać było na ostatniej Genewie: atmosfery wzajemnego zaufania. Bez tego czynnika nie udadzą się najbardziej przemyślne plany. Bez tego nie dojdzie do żadnego porozumienia.

Potrzeba dalej upartych, cierpliwych rokowań nad konkretnymi problemami, nie załatwionymi do dzisiaj: nad bezpieczeństwem zbiorowym, nad rozbrojeniem, nad sprawą Niemiec.

Potrzeba wreszcie, aby zaufanie w szczerość intencji naszego obozu pokwitowane zostało przez zachodnich mężów stanu minimalną choćby dozą dobrej woli w negocjowaniu porozumień i dobrej wiary w ich realizowaniu.

I jeśli wolno wyjść poza własne propozycje, składane na początku naszego świątecznego monologu — chciałbym po raz czwarty wypić za spełnienie tych naszych pragnień w nadchodzącym roku.

A. P. LENTIN

Korespondencja z Paryża

U sułtana Maroka

UPŁYNĘŁY już dwa lata od momentu, kiedy rząd Lanniel-Bidault, pod naciskiem wielkich feudałów Maroka i w oparciu o nich, a szczególnie paszę Marakeszu El Glaoui, pozbawił tronu sułtana marokańskiego Sidi Mohameda Ben Youssefa, oskarżonego o czynne popieranie Ruchu Narodowego w jego walce o wyzwolenie kraju.

Kiedy więc tron zajął uzurpator — Ben Arafa, prawowity sułtan musiał udać się na zesłanie, początkowo na Korsykę, następnie na Madagaskar. Tymczasem w Maroku protest całego ludu, a we Francji kampania lewicy były w ciągu tych dwóch lat tak silne, a w ostatnich tygodniach nawet tak gwałtowne, że rząd francuski po wielu wahaniach podjął wreszcie decyzję sprowadzenia z powrotem prawowitego władcy.

Wracając do kraju na dzień Święta Korony sułtan zatrzymał się dwa tygodnie w okolicach Paryża, w miejscowości St. Germain en Laye. Zamieszkał w historycznej siedzibie — zamienionej obecnie na wspaniały hotel, z którego dotychczasowi goście — bogaci turyści amerykańscy spiesznie musieli się wynieść, ustępując miejsca całemu dworowi i 60-osobowej świcie Sidi Mohameda, obecnie znowu Mohameda V.

Pojechałem tam razem z kilkoma innymi postępowymi dziennikarzami, którym sułtan chciał wyrazić specjalne podziękowanie za zdemaskowanie aktu przemocy skierowanego przeciwko niemu, za podtrzymywanie go w ciężkich i trudnych chwilach, oraz za przeprowadzoną w prasie kampanię mającą spowodować jego powrót na tron, co obecnie stało się już faktem.

FLAGA CHERIF'ÓW NAD SIEDZIBĄ HENRYKA IV

Nad pałacykiem, który zamieszkiwał przez długi okres czasu Henryk IV, powiewa dziś sztandar cherifów — czerwony z półksiężycem i dwiema gwiazdami.

Sławna terasa na skraju lasu góruje nad szaro-niebieskimi dolinami wsi rozpływającymi się we mgle, malowanymi ostatnimi kolorami jesieni — czerwonym i złotym. Jest to typowy pejzaż Ile de France — umiarkowany i miękki, a elegancka i migocąca w oddali, odcinająca się od nieba przestrzeń — to wielki Paryż z królującą nad nim wieżą Eiffla.

Kontrast tych dwóch światów rysuje się wyraźnie: przed bramą pałacyku pilnie strzeżonego przez imponującą straż porządkową, przed kamienną szarą fasadą, która była świadkiem niejednej historycznej sceny zajeżdżają bez przerwy Chryslery, Cadillac'i i Delahaye, wyrzucając ze swych wnętrz postacie w bieli wyglądające jak zjawy. Egzotyczny obraz — przepych arabskich strojów jakby w balecie Wschodu; owinięci w wełniane burnusy, albo w lniane „dżellaba" dygnitarze, kaidowie, kadi, ulemasowie — administratorzy, sędziowie, doktorowie Islamu — przybywają tłumnie, jakby w procesji, aby zapewnić władcę o swym przywiązaniu i lojalności, nie zawsze godnej naśladowania. Spotykają tu delegacje robotników marokańskich z okolic Paryża, którzy przybyli przedstawić sułtanowi swe żądania narodowe i socjalne. Mały handlarz-domokrążca, chytry i dowcipny, taki, jacy bywają tylko w Paryżu, sprzedaje kolorowe baloniki z portretem sułtana. Od chwili, kiedy wpadł na ten pomysł, majątek jego wzrasta z niesłychaną szybkością. Ofiarował już baloniki małym księżniczkom i wysłał samolotem cały ich ładunek do Maroka, gdzie są sprzedawane na wagę złota.

POKÓJ 206 — APARTAMENT JEGO KRÓLEWSKIEJ MOŚCI

Zarząd hotelu dokonuje cudów, aby zadowolić tego klienta równie znamienitego, jak nieprzewidzianego i aby przystosować hotel do wschodnich zwyczajów życia sułtana i jego świty. Muzułmanie nie piją alkoholu, lecz duże ilości soków owocowych. Codziennie wyciska się 30 kg cytryn, pomarańcz, mandarynek itp. w kuchniach pałacyku. Starają się one wprowadzić do swojego menu takie dania, jak: pieprz turecki, kabaczki, bulwy, potrawy z manny, świeże i suszone figi.

Sułtan zajmuje apartament Nr 206 na II piętrze, jego córki zamieszkują najwyższe piętro, a dwaj synowie pierwsze. Osiemnaście żon i ich pięć służebnych mieszkają po dwie w pokoju na II piętrze. Po południu, gdy Mohamed V udziela audiencji, żony wychodzą zakonspirowanym przejściem i wyjeżdżają do Paryża ogromnymi limuzynami. Wracają potem do pałacyku, z rękami pełnymi paczek i pudeł do kapeluszy.

Wieczorem zaś dotrzymują towarzystwa sułtanowi — pozostawiają swoje pantofle na progu jego apartamentu i zasiadają kołem na ziemi. Sułtan siedząc wśród nich demonstruje wówczas pokazy telewizyjne. Pamiętajmy, że telewizja jest prawdziwą pasją sułtana. Przepada on też za wielkimi samochodami, które prowadzi z szaloną szybkością.

Od czasu do czasu maitre d'hôtel w czarnym surducie i białym plastronie przynosi miętową herbatę i kosze owoców.

KAIDOWIE U STÓP MONARCHY

Przechodzimy przez bramę, pod dobrodusznym okiem olbrzymiego portiera w niebieskiej czapce szamerowanej złotem, który wygląda tak, jakby w tej chwili wyszedł z operetki Offenbacha. W hallu szkarłatne fezy, białe burnusy i różnokolorowe dżellabasy mieszają się z ciemnymi ubraniami europejskimi młodych nacjonalistów marokańskich, dziennikarzy i policjantów w cywilu. Rozlega się szmer pantofli po kamiennej posadzce, fezy mijają się — pozdrawiając, powiewne szarfy falują wśród pęków chryzantem, witryn z luksusowymi książkami i miedzianych tac, na których gromadzą się tysiące i tysiące depesz gratulacyjnych, wysyłanych z Maroka powracającemu monarsze.

Marokańczycy wymieniają braterskie uściski, pocałunki, „Salem alejkum". Słychać odgłos gardłowych rozmów prowadzonych w języku arabskim. Widać radosne uśmiechy, błyszczące oczy w śniadych twarzach, spalonych wiatrem pustyni.

Nawet ci paszowie i kaidowie, którzy zdradzili swego monarchę w czasie przewrotu, przechodząc do obozu jego wrogów, nie są teraz odsunięci od łask i biorą udział (lub przynajmniej udają, że biorą) w ogólnej radości.

Niewierni dnia wczorajszego — dzisiaj wrócili do wierności oczekując ze skruchą tej chwili, kiedy będzie im wolno upaść do stóp Mohamedowi V na znak uległości. Czynią to za przykładem wodza, starego paszy Marakeszu, słynnego El Glaoui zwanego „sułtanem Południa" albo „niekoronowanym królem", który jest osobistym przyjacielem Churchilla i generałów Pentagonu, a który po godzinnym wyczekiwaniu w sieni przypełz jak robak do nóg sułtana, ucałował trzy razy jego pantofle i błagał o „aman", przebaczenie, podczas gdy dziesiątki fotoreporterów poprzez wielkie otwarte wówczas, oszklone drzwi uwieczniły tę prawdziwie feudalną scenę.

WYGNANIE I DOJRZAŁOŚĆ

Drzwi wielkiej sali otwierają się do komnaty ozdobionej sztukaterią, złoconej i stylowo umeblowanej. Napis na brązowej płycie przypomina, że tutaj urodził się Ludwik XIV, którego córkę chciał pojąć za żonę jeden z przodków Mohameda V. Spotkanie nasze nabiera charakteru historycznego dzięki miejscu, które znów staje się świadkiem decydujących politycznie scen. Tymczasem drobna, ciemna sylwetka kobiety w żałobie, czekającej w salonie przypomina nam ostatnie rozdziały tej historii — historii narodu walczącego o swoje wyzwolenie, rozdziały krwawe, usłane trupami.

Przychodzi nasza kolej. Szef protokółu wywołuje nasze nazwiska donośnym głosem. Skrzydła wielkich drzwi rozsuwają się. Mamy zaledwie sekundę czasu, aby rzucić okiem na wspaniałe gobeliny przedstawiające sceny bitew historycznych Francji. I już znajdujemy się przed obliczem sułtana Mohameda V, w prostej linii potomka Mahometa, wodza świeckiego i duchownego, politycznego i religijnego 8 milionów Marokańczyków. Monarcha łamiąc zasady protokółu opuszcza swój dywan i powstaje, aby nas powitać i uściskać nasze ręce. Jest to zgrabny, nerwowy mężczyzna, o młodzieńczych ruchach, subtelnych rysach twarzy i jasnej cerze. Twarz wyrazista, szczupła, oczy szare, które nadają mu wygląd raczej człowieka Zachodu, niż Wschodu. Jego jasno-żółta długa tunika i biała czapeczka à la Nehru pięknie harmonizują z błękitem dywanu w otoczeniu barw pastelowych, trochę melancholijnych i zamierzchłych. Urok dawnych czasów pryska w momencie, kiedy sułtan zaczyna mówić. Odnajdujemy świat nowoczesny. Sidi Mohamed doskonale zna francuski, ale protokół wymaga, aby się posługiwał arabskim. Mówi po arabsku szybko, jakby głosem zadyszanym, gestykulując, a nawet poruszając pantoflem na końcu stopy.

Tłumacz nie może za nim nadążyć. Sułtan opowiada nam, że nawet w najgorszych chwilach swego wygnania nigdy nie wątpił w przyszłość, wiedząc dobrze, że prawdziwie demokratyczne tradycje Francji — te właśnie, których przedstawicielami jesteśmy my, dziennikarze postępowi, w końcu zatriumfują nad egoistycznymi interesami kilku wielkich posiadaczy i wyrugują niezręczną politykę kilku krótkowzrocznych ministrów. Powiedział nam, do jakiego stopnia zależy mu na prawdziwej przyjaźni francusko - marokańskiej, opartej na ścisłej wymianie kulturalnej i gospodarczej, na równości i obustronnym poszanowaniu. Dążąc do „niezależności we wzajemnej zależności", przekształcając więzy, które łączą Maroko z Francją — powiedział dalej — kraj nasz musi również przekształcić się sam, zmodernizować, zdemokratyzować, przełamać średniowieczną strukturę socjalną. Co do mnie — powiedział sułtan — nie chcę już być monarchą absolutnym, ale konstytucyjnym i liczę niezbicie na pomoc demokratycznych sił francuskich dla podjęcia ogromnego zadania, którego nie da się zrealizować bez pokonania ogromnych oporów.

— Właściwie — Sir, powrót Waszej Królewskiej Mości na tron — pierwsze zwycięstwo nad kolonializmem jest tylko punktem wyjścia. Dla państwa cherifów wszystko się dopiero zaczyna.

— Oui, une ere nouvelle s'ouvre pour le Maroc.

tłum. Grażyna Ziemiańska

JÓZEF SZCZAWIŃSKI

NOCE ŚMIERCI I NARODZIN

CIEMNE, chmurzyste, ciężkie wiecznością niebo nawisa przez wszystkie niemal akty dramatu nad dziejącymi się na scenie zdarzeniami. Jest zmienne w barwie i kształcie chmur, pełgają po nim w scenie ostatniej krwawe odblaski zorzy, lecz jego głębia ma nieodmienną, milczącą barwę ołowiu. Raz tylko, w scenie Improwizacji, gdy ulatuje w przestrzeń sufit celi więziennej, niebo otwiera się dla słów i myśli Konrada, zapalają się gwiazdy. Ich wielość i migotliwość usuwa powracające chwilami skojarzenie z gwiaździstymi sklepieniami kościołów barokowych. Strumień światła spina podłogę celi z pozagwiezdnymi przestrzeniami, więżąc w swojej chłodnej jasności postać Konrada. Powoli zatracamy świadomość, czy światło pada z góry, czy też wznieciły je słowa szturmującego wieczność człowieka. Szczegół scenograficzny — niebo obecne przez wszystkie akty przedstawienia to tylko jeden z ważnych, lecz nienajpierwszych elementów inscenizacji, nie narzuca się ono nawet z taką natarczywością nastroju, jak słynne trzy krzyże z Schillerowskiej inscenizacji. Ale ten drobny pozornie szczegół przypomina, że wszystko, co stworzy wiedza i wyobraźnia reżysera, kunszt aktorów, służyć musi wielkiemu zadaniu twórczego, szczerego i mądrego wskrzeszenia na scenie mickiewiczowskiego arcydzieła.

Jak „odbierać" „Dziady"? Czy podejść do kontemplacji tego utworu, uzbrojonym w historyczną i literacką wiedzę o epoce, wiedzę, skrzętnie i mozolnie gromadzoną przez pokolenia uczonych. Sięgać do olbrzymiego zbioru badań, komentarzy, hipotez, do bardzo często ze sobą sprzecznych opracowań będących wyrazem przemijających kierunków w wiedzy o literaturze. Czy też zbliżyć się do mickiewiczowskiego arcydramatu z pokorą czytelnika, słuchacza i widza, który szuka w nim oczyszczającego przeżycia piękna, ale i wiadomości o najgłębszych sprawach ludzkich. Nauka zdoła je spostrzec, sklasyfikować, zanalizować, lecz ich syntezę może stworzyć tylko sztuka. W percepcji „Dziadów" będącej udziałem współczesnego odbiorcy wiedza o utworze przeplata się z bezpośrednim, emocjonalnym przeżyciem treści ideowych, które to arcydzieło niesie. Można krok po kroku śledzić wzrastanie kształtu utworu z uwarunkowanych czasem i historią przeżyć i myśli Mickiewicza, z jego znajomości spraw współczesnej mu epoki, z wpływu prądów filozoficznych, kierunków literackich — tych wszystkich różnorodnych i skomplikowanych okruchów życia oddziaływających na twórcę. To jest konieczne dla pełnego zrozumienia społecznej wagi utworu, jego prawdy artystycznej, którą uwarunkowała prawda historyczna. Ale utwór Mickiewicza wyrasta ponad czas zamknięty paru dziesiątkami lat, rozprzestrzenia się też poza jeden lub kilka narodów, jest ogólnoludzki. „Dziady" należą do utworów, u podstaw których znajdujemy nie tylko wielki, realistyczny, nie lękający się sięgania do szczegółu obraz zmagań ujarzmionego narodu, ale także przełożone na język poezji fragmenty dyskusji i sporów literackich, wydobywające sens społecznych i kulturalnych prądów epoki. Ale „Dziady" są także, a może przede wszystkim utworem, który powstał z szerokiego, uniwersalistycznego pojmowania spraw ludzi i społeczeństw. Uniwersalizm tkwiący u podstaw dzieła decyduje o jego treściach społecznych, artystycznych, a przede wszystkim jest źródłem wielkiego bogactwa tych treści. Dlatego czytając „Dziady" możemy powracać do nich nieskończoną ilość razy, odkrywając zawsze nowe pokłady myśli i wzruszeń. Dlatego też możliwe i dopuszczalne są różne spojrzenia inscenizatorskie. Mickiewicz, dając utwór artystycznie doskonały i skończony, wzbogaca wrażliwego odbiorcę o nowe przeżycie artystyczne i zmusza go do współtwórczości. W tym tkwi tajemnica oddziaływania wielkich dokonań artystycznych. Z chwilą gdy dramat mickiewiczowski przeniesiony zostanie na scenę, wielorakość i charakter jego indywidualnych konkretyzacji ogranicza wizja artystyczna inscenizatora i wykonawców. Stąd wyrosły głosy przeciwne wystawianiu „Dziadów". Uważano, że nie istnieją takie środki wyrazu scenicznego, które by zastąpiły nieograniczone możliwości ludzkiej wyobraźni. W niej bowiem ostatecznie powinien rozegrać się wielki dramat Gustawa-Konrada. Nawet Przyboś [1]) pisał: *„...w Roku Mickiewiczowskim zobaczymy „Dziady" na scenie..."* a dalej: *„jeszcze pisząc to zdanie podające informację wiadomą powszechnie, wiec już nawet niepotrzebną — uświadomiłem sobie niezwykłość jego treści, szalony zamiar zawarty w tym obojętnym zdaniu: z o b a c z y m y „D z i a d y!". Mamy z o b a c z y ć p o e z j ę „Dziadów". Lecz czyż można z o b a c z y ć p o e z j ę, czy to możliwe? Co to znaczy? Jak to uczynić, żeby poezja była na scenie widoczna, żeby się ją widziało?".*

A jednak nieraz przekazano odbiorcy za pośrednictwem sceny wielką poezję Mickiewicza. Nigdy nie zdołano wyrazić pełnego jej kształtu, ale w najwybitniejszych wystawieniach naprowadzono widza na drogę do własnej, bogatej i możliwie bliskiej wizji poety — konkretyzacji jego dzieła w umyśle i sercu czytelnika. Na pewno ten, kto serdecznie przeżył wieczór „Dziadów" w teatrze, powróci doń jeszcze poprzez lekturę utworu.

ZANIM powrócimy do spraw scenicznej realizacji „Dziadów", do zapytania, czy uniesiono wielki ciężar problemów, nie roztrwoniono bogactwa tekstu poetyckiego — zapytania, które postawiła i częściowo już na nie odpowiedziała dyskusja prasowa, a przede wszystkim sama publiczność — trzeba raz jeszcze sięgnąć do najistotniejszych podstaw każdego utworu literackiego, do światopoglądu poety.

Nie jest to sprawa łatwa choćby dlatego, że „Dziady" pisane były w trzech etapach, pochodzą z trzech okresów w życiu i twórczości poety, a więc można i trzeba uwzględnić fakt, że zmieniać się musiał zamysł twórczy i zmieniał się w znacznym stopniu światopogląd Mickiewicza. Dlatego zatrzymać się dłużej trzeba nad treściami światopoglądowymi, które niesie z sobą III część dzieła. „Dziady" drezdeńskie odbiegające charakterem i poetyką od poprzednio napisanych w Kownie i Wilnie części utworu muszą być w realizacji scenicznej powiązane z nimi w jedną całość.. Wskazuje na to choćby konsekwencja dziejów Gustawa-Konrada. Ale wypada tu stwierdzić jedno. Uniwersalizm Mickiewicza, który przepaja cały utwór, jest uniwersalizmem katolickim, jego światopogląd — światopoglądem religijnym, a koncepcja rzeczywistości — chrześcijańska i spirytualistyczna.

Nie chodzi tu o wskrzeszanie (jeszcze nie wygasłego) sporu o Mickiewicza, który toczył się na płaszczyźnie naukowych polemik, choć czasami przybierał też charakter intelektualnych bójek. Impresje moje wyrosły z przeżycia utworu w ostatniej inscenizacji. Nie mają one możliwości ani ambicji wtrącenia się w dyskusje mickiewiczologów. Ale łącząc te impresje z próbą oceny scenicznej realizacji dzieła nie podobna ominąć pytania, czy i w jaki sposób treści światopoglądowe i ideowe dzieła znalazły swój wyraz w nowej koncepcji inscenizacyjnej.

Terenem, z którego wyrasta przebogata problematyka „Dziadów", są ziemskie sprawy człowieka i narodu, rzeczywistością, w której te wszystkie sprawy się dzieją, jest konkretna historyczna rzeczywistość. Dostrzegalny i przekonujący jest sens i cel społeczny i polityczny dzieła. „Dziady", a szczególnie ich część trzecia to wielki poetycki i twórczy manifest polityczny. Nie umniejsza to ich wymiaru artystycznego, nie ogranicza aktualności, przekraczającej granice epoki. Nie przekreśla faktu, że sceny III części „Dziadów" rozgrywają się jednocześnie w celi więziennoklasztornej, sypialni Senatora, dalekim domku Ewy, równie odległej Warszawie, a także że akcja ta toczy się równocześnie poza czasem i przestrzenią. Uznając i włączając do akcji ziemskiej najwyższy Autorytet nadprzyrodzony, podnosi Mickiewicz rangę ludzkich spraw poza okrąg czasu, nie umniejszając przez to wartości konkretnego, doczesnego działania i walki człowieka. Konradowy bunt przeciwko Bogu jest jednocześnie uznaniem Boga. Bunt ten wyrasta z ograniczoności ludzkiego widzenia celów i zamierzeń Bożych, jest wołaniem o natychmiastową ingerencję Boga, mającą doprowadzić do usunięcia zła, zniesienia krzywdy narodu. Motywacja moralna tego buntu tkwi w przekonaniu Konrada, że woła i cierpi za cały naród, miliony cierpiących ludzi. Wielki bunt przeciw Miłości, docierający do granic bluźnierstwa, wyrasta z głębokiej miłości człowieka. Ale Konrada spotyka klęska — milczenie wielkiego Przeciwnika. *„Konrad [2]) żądał nadania mu mocy nadprzyrodzonej, żądał spełnienia się cudu. Ale* — jak pisze prof. Kleiner — *Konrad w moc swoją nie wierzy, przeciwnie, wie, że jej nie posiada — ale nie wierzy także, że Bóg zechce cud zrobić. W antytezie on i Bóg — jeden tylko, Konrad, chce cudu, drugi tylko może cud zdziałać: Bóg. Stąd nielogiczne, irracjonalne, chociaż psychologicznie zrozumiałe żądanie, do spełnienia niemożliwe: Bóg ma Konradowi udzielić mocy, by Konrad zrobił cud, którego Bóg zrobić nie chce".* Ale to mądre i głębokie wyjaśnienie bezskuteczności konradowego buntu można współcześnie również tłumaczyć wielką prawdą, że terenem nadprzyrodzonej ingerencji Bożej w sprawy ziemskie jest przede wszystkim wnętrze ludzkiej duszy. I choć słowa Wielkiej Improwizacji rozlegają się we wnętrzu Konrada, żąda on przecież materialnego przejawu Bożej sprawiedliwości. Bóg działa przede wszystkim przez walkę i pracę, przez pokorę i modlitwę człowieka. dlatego Konrada ocala w porządku nadprzyrodzonym pokora i modlitwa, zaś w doczesnym — moralna postawa księdza Piotra.

Konrad szturmował niebo z pozycji ziemskich Ziemia, a na niej człowiek staje się centrum wszechświata, centrum zainteresowania i przedmiotem walki duchów. Człowiek jest więc po Bogu najwyższą wartością w reprezentowanym przez Konrada systemie filozoficznym. Ale pojęcie człowieka rozszerzone jest i zwielokrotnione przez pojęcie narodu i ludzkości. I znów dochodzi do głosu wypływający z nakazu miłości bliźniego — uniwersalizm chrześcijański. Uniwersalizm uwzględniający wszystkie płaszczyzny odczuć i myśli człowieka, wszystkie dziedziny ludzkiego życia. I tutaj też tkwią korzenie postępowej społecznie, artystycznie twórczej, czynnej postawy Adama Mickiewicza. Sens i treści jego działalności pisarskiej, społecznej i politycznej wyrastały i zawsze adekwatne były jego światopoglądowi. Dlatego na przykładzie życia i twórczości poety uczyć się możemy ożywienia wielkiego i zobowiązującego terminu — inspiracja światopoglądowa. O tym zapominać nie powinien żaden komentator twórczości Mickiewicza, żaden inscenizator jego arcydramatu, a także zapomnieć nie może czytelnik i widz — najwdzięczniejszy i najpierwszy współtwórca jego dzieł.

Teatr Polski „Dziady" — Odsłona I Fot. Fr. Myszkowski

*

REAKCJA widowni nie jest najważniejszym miernikiem przedstawienia. Często zwodzi, bywa zmienna i kapryśna. Zresztą skład społeczny widzów, ich wrażliwość na uroki sceny, nie jest jednakowa każdego wieczoru. Publiczność z przedstawienia prasowego reagowała na każdą odsłonę chwilą skupionego milczenia, później rozbrzmiewały oklaski. Podczas jednego z dalszych wieczorów oklaski rozlegały się często przy otwartej kurtynie. Podobno — jak pisał jeden z recenzentów — na premierze łzy w oczach miały nie tylko kobiety, ale i ministrowie. Żałuję, że nie widziałem. Byłoby wielką satysfakcją ujrzeć łzy wzruszenia jeśli już nie w oczach Ministra Kultury i Sztuki, to przynajmniej dyrektora departamentu PKPG. Ale zauważyłem inne, może jeszcze bardziej istotne oznaki wzruszenia — poważne, skupione twarze. Szatnie po przedstawieniu szturmowano o wiele mniej niż zazwyczaj. A to znamienne.

W każdym razie ocena najważniejsza — ocena widza — wypadła entuzjastycznie. Recenzentów na ogół także, choć niektórzy próbują „migać się". Nie ma, dotąd przynajmniej, głosu, który by inscenizacji Aleksandra Bardiniego nie postawił obok dwóch wielkich inscenizacji: Wyspiańskiego i Schillera. A że tamtym również zarzucono wiele, nie dziwmy się sprzeczkom i protestom pod adresem Bardiniego. Na pewno będzie ich jeszcze więcej. Ważne jest tylko to, czy dotyczą fragmentów, szczegółów, drobniejszych pomyłek inscenizatorskich, czy ogólnej zasadniczej koncepcji przedstawienia. „Dziady" wystawiane będą bardzo długo w nowej inscenizacji. Na pewno nieraz jeszcze powracać się będzie do niej w pismach kulturalnych, a może doczeka się ona osobnego opracowania książkowego. Jak dotąd Jan Kott analizując szczegółowo niektóre fragmenty inscenizacji zabłysnął maestrią uniku w jej generalnej ocenie. Bardziej zdecydowanie wyrażał się o całości koncepcji inscenizacyjnej na tych łamach K. Eberhardt, ale z nim chciałbym nieco polemizować. Dostarczył mi zresztą pretekstu, by zacząć uwagi na temat trzecich wielkich „Dziadów" na scenie polskiej od sprawy ważnej — problemu jedności ducha i jednolitości linii przedstawienia. *„Zabrakło osi* — pisze Eberhardt [3]) — *która złączyłaby wszystkie części ogromnego poematu dramatycznego, nadałaby im sens współistnienia w ramach jednego widowiska...* — a dalej — *To właśnie „warstwa duchowa" „Dziadów", to właśnie „żywych obcowanie" stanowi więź spajającą wszystkie fragmenty z Improwizacją jako momentem szczytowym. Tego właśnie momentu tutaj zabrakło".*

Zarzuty recenzenta dotyczą więc dwu zagadnień inscenizacyjnych — kompozycji i skreśleń.

Czy jest możliwe skomponowanie przedstawienia „Dziadów" jako całości jednolitej w charakterze i układzie akcji?

„...nie istnieją „Dziady" Mickiewicza jako jedno organiczne dzieło — pisze prof. Stefania Skwarczyńska [4]). — *Nie wolno poszczególnych części rozumieć jako ogniw zazębiających się o siebie prostą ciągłością fabuły, jedności idei itd. Pod tytułem „Dziady" mieszczą się z gruntu różne utwory wyrosłe na kilku odrębnych koncepcjach poetyckich, nawarstwione jedne nad drugimi, tak jak to dyktowało życie, ukazujące Mickiewiczowi coraz to nowy obraz rzeczywistości i prawdy".*

Jeśli przyjmiemy za prof. Skwarczyńską, że zjawy w II części „Dziadów" nie są duchami, ale projekcjami myśli, ich artystycznymi personifikacjami, uświęconymi przez poetykę klasyczną, a służącymi celom dydaktycznym — to jasne wyda się nawiązanie do Wyspiańskiego wraz z jego barokowymi aniołkami i cukierkowatą Zosią. Zrozumiemy również, dlaczego tłum biernie uczestniczy w obrzędach, dlaczego zastygł w milczącym bezruchu. Uzasadniona byłaby tylko żywsza reakcja na zjawienie się postaci Złego Pana, którą potraktowano z wstrząsającym realizmem zaczerpniętym z wierzeń ludowych Od ludowej fantastyki odbiegła natomiast postać Czarnego Myśliwego, zaakcentowano tutaj intelektualne pokłady tekstu.

W zainscenizowaniu części IV „Dziadów" skoncentrowano uwagę widza na postaci Gustawa nie tylko jako na „ofierze i męczenniku miłości". Gustaw reprezentuje tu także siłę ludzkiego uczucia, ważność cierpienia, które w scenie więziennej uwielokrotni się i wzrośnie przez złączenie z cierpieniem narodu i ludzkości.

Dramat Gustawa-Konrada koncentruje cały ciężar scen więziennych, Małej i Wielkiej Improwizacji na barkach aktora kreującego tę postać. Bardini zwiększył wagę tego ciężaru rozpoczynając scenę więzienną od razu od wysokich tonów, kondensując Prolog i scenę I w jedną całość, ograniczając do minimum partie duchów i aniołów. Zniknięcie głosów w Wielkiej Improwizacji zmusiło aktora — Konrada do samotnego podołania wzrastającemu napięciu akcentów i treści zawartych w tekście.

Ale nie tylko względy aktorskie mogłyby przemawiać przeciw temu skreśleniu. Głosy są ważną częścią Wielkiej Improwizacji, widzimy przecież wyraźnie echa inwokacji złego ducha w partiach Konrada. Oczywiście, konieczne staje się wówczas zachowanie i głosu anioła. Lecz z drugiej strony usunięcie głosów było rezultatem ogólnej koncepcji inscenizacyjnej mającej na celu sprowadzenie świata nadprzyrodzonego przede wszystkim do sfery zjawisk psychicznych. Trzeba przyznać, że Bardini nie poszedł tu na łatwą wulgaryzację, ani na naciąganie faktów bezspornych, nie przyciemniał światopoglądu twórcy, z którego przesłanek wyrasta III część „Dziadów". Dlatego ograniczenie bezpośredniej ingerencji świata zaziemskiego w losy Konrada nie równa się zafałszowaniu treści światopoglądowych dzieła. Dowodem choćby pięknie i konsekwentnie zarysowana postać księdza Piotra, który siłę moralną czerpie z żarliwości swojej wiary. Podkreślenie, że ksiądz Piotr jest jednocześnie człowiekiem działającym, że jest świętym na wskroś współczesnym, pozwala na wydobycie i z tej postaci cech szczególnie nam bliskich.

O daleko idące wyeliminowanie duchów w części III można się spierać z inscenizatorem, ale nie to decydowało o właściwej lub błędnej interpretacji utworu, o wierności wobec tekstu, którego i tak nie można było ocalić od okaleczenia przez skróty. Mickiewicz celowo wprowadzał bogaty świat duchów do „Dziadów" drezdeńskich. Ale ilość głosów i duchów nie zadecydowała o charakterze zmagania się Konrada z Bogiem, o klęsce i ocaleniu bohatera. Tu nie tylko mamy do czynienia ze „zracjonalizowaniem" utworu. Wielki dialog człowieka ze Stwórcą toczy się w ciszy duszy ludzkiej, a ocalenie przyjść może przez drugiego człowieka, który bliżej niż my jest świętości.

Jeśli podkreślono walory malarsko - dramatyczne inscenizacji Wyspiańskiego, jeśli inscenizację schillerowską określono jako muzyczno-misteryjną, to w skameralizowanej inscenizacji Bardiniego przeważają tendencje realistyczne i psychologiczne. Pogłębiony realizm tej koncepcji doskonale oddany w trudnej scenie rozgrywającej się u księdza (część IV) lub we wzruszająco poetyckim, a przy tym realistycznym rozwiązaniu sceny zamykającej przedstawienie, w świetnym tryptyku scen — w celi Konrada (modlitwa Ewy, sen Senatora, widzenie księdza Piotra), o wiele słabiej zabrzmiał w odsłonach ze swej natury realistycznych. Zwłaszcza w Salonie Warszawskim zawiodła Bardiniego jego koncepcja inscenizacyjna. Omówił te partie przedstawienia szczegółowiej Konrad Eberhardt na łamach „Dziś i Jutro", więc nie będę do nich powracał. Scenę w pałacu Senatora uratowało mocne, dobrze rozwiązane aktorsko jej zakończenie.

NOWA inscenizacja „Dziadów", związana w jedną całość twórczą koncepcją scenograficzną, piękną ilustracją muzyczną, wprowadzając jako równorzędny element sceniczny światło, oparła się jednak przede wszystkim na aktorach i to przeważnie aktorach młodych. Kreacjom aktorskim poświęcone będzie na pewno osobne studium w którymś z czasopism teatralnych, a może nawet i ogólnokulturalnych. Nie podobna jednak nie powiedzieć przynajmniej kilku słów o wykonawcach.

Rola Gustawa-Konrada jest partią równie wysoko cenioną, a na pewno trudniejsza niż rola Hamleta lub Otella. Konieczność wcielania się w coraz to inne postacie, przybierane przez tego samego właściwie bohatera utworu, nagłe przeskoki od Gustawa z części I, Gustawa-Widma, Gustawa-Pustelnika do Konrada, zmiana atmosfery i charakteru poszczególnych scen, wielki trud psychiczny i fizyczny odtworzenia Małej i Wielkiej Improwizacji, i przy tym świadomość wagi i piękna tekstu, który wypowiada aktor — to wszystko, wydawałoby się, przerasta możliwości jednego człowieka. A jednak i Ignacy Gogolewski, i Stanisław Jasiukiewicz w ramach koncepcji inscenizacyjnej Bardiniego, roli tej podołali mimo ujawnianej często surowości swego warsztatu aktorskiego, chwilami zbyt gwałtownego gestu i nie zawsze, zwłaszcza u Jasiukiewicza, przemyślanej gospodarki głosu

Ignacy Gogolewski bardziej zdecydowanie przeprowadził rozdział między Gustawem i Konradem. Jako Gustaw-Pustelnik doskonale odtwarzał przejścia od melancholii złamanego bólem obłąkańca do wybuchów człowieka, w którym z całą siłą odzywa się cierpienie. W Wielkiej Improwizacji dobrze oddał narastanie konradowego porywu myśli i poezji. W scenie egzorcyzmów za pomocą głosu i wymowy stężałych w szpony palców niezapomnianie ukazał udrękę opętanego, opanowanie opuszczonego ciała Konrada przez złego ducha. Stanisław Jasiukiewicz położył większy nacisk na intelektualną interpretację roli. Jego Gustaw - Konrad jest bardziej jednolity, co może być uważane za dodatnią stronę tej kreacji, ale i w żadnym razie nie oznacza, by koncepcja aktorska u Gogolewskiego była pod tym względem błędna. Jasiukiewicz podszedł do Wielkiej Improwizacji bardziej dynamicznie, nie oszczędzając gestu i głosu. Obawialiśmy się, czy wytrzyma głosowo wzrastające napięcie tekstu. W scenie egzorcyzmów zaznaczył obecność złego ducha szaleńczym miotaniem się opętanego ciała Konrada.

Rolę księdza Piotra bardziej współcześnie i zrozumiale dla widza potraktował Mieczysław Milecki. Świętość jego księdza Piotra była bardziej człowiecza i bardziej nam bliska, a jednocześnie urzekająca swoją głębią religijną. W scenie egzorcyzmów, a przede wszystkim w pałacu Senatora, przekonywał siłą moralną i zaangażowaniem w doczesną walkę o człowieka. Marian Wyrzykowski bardziej podobał się za to w celi klasztornej. Jego widzenie było naprawdę ekstazą mistyka.

Za najbardziej dojrzałą kreację aktorską przedstawienia trzeba uznać Senatora odtworzonego przez Władysława Hańczę. Artysta uchwycił ową pozorną sprzeczność między dobrze ułożonym dworakiem, pysznym, lecz uprzejmym dygnitarzem, a bezwzględnym mordercą i intrygantem, najzajadlejszym z „carskiej psiarni". Trafnie, choć dyskretnie zaznaczono przy tym odrażające cechy zewnętrzne postaci Nowosilcowa. Ta subtelna, ale wyrazista karykatura Senatora odbija dobrze od pokracznej postaci Bajkowa, równie dobrze ożywionego na scenie przez Franciszka Dominiaka.

Mocnym, tragicznym akcentem sceny w pałacu Senatora jest dwukrotne pojawienie się Rollisonowej. Słusznie pisze Jan Kott, że Zofia Małynicz miała w sobie coś z greckiej tragedii — ale mam wrażenie, że obydwie wielkie artystki (Z. Małynicz i Seweryna Broniszówna) nie osiągnęły tu szczytu tragicznej i szlachetnej prostoty tak koniecznej w tej roli. Postaci Guślarza odjęto koturny, mówi prosto, widać, że czuje się swojsko w noc duchów, zjaw i grozy. Niemała w tym zasługa Wojciecha Brydzińskiego.

Równorzędnymi aktorami obok artystów żywych są w inscenizacji „Dziadów" dekoracje, o których fragmencie już wspomniałem, muzyka i światło. Ilustracja muzyczna Tadeusza Baird'a doskonale obok światła zaznaczyła nastrój poszczególnych scen, świetnie je zamykała zwłaszcza dzięki partiom chóralnym.

Ostatnia inscenizacja „Dziadów" odznacza się zwartą całościowo koncepcją przedstawienia, koncepcją jednolitą o tyle, oczywiście, o ile pozwala na to specyficzna kompozycja dzieła złożonego z trzech odrębnych części. Odbiegając od misteryjnej koncepcji Schillera, ale nie zacierając światopoglądowych treści utworu, wydobyto z niego to, czym zawsze żył Mickiewicz — sens żywego, konkretnego działania społecznego i artystycznego dla ocalenia narodu i jednostki.

Akcja „Dziadów" rozpięta jest na kanwie dwu świąt: Święta Zmarłych, w które człowiek wybiega myślą w wieczność poprzez Świętych Obcowanie, i Święta Narodzenia, w którym Bóg dotknął ziemi. Kontakt ze zmarłymi, zejście Boga na Ziemię, zbliżenie spraw zaziemskich i uświęcenie doczesnych przez miłość Nowonarodzonego — to dwie centralne sprawy arcydzieła Mickiewicza.

---

[1]) Julian Przyboś: „Jak grać Improwizację" „Teatr" nr 11 55.

[2]) Juliusz Kleiner: „Mickiewicz" Tow. Naukowe KUL 1948. t. II. cz. I.

[3]) Stefania Skwarczyńska: „Studia i szkice literackie", „Struktura świata poetyckiego w Dziadach Mickiewicza" Pax, 1953, str 241.

[4]) Konrad Eberhardt: „Prometeusz wyzwolony" — Dziś i Jutro nr 48/55.

ZBIGNIEW CZAJKOWSKI

MADONNA DEI GUALANI

I

GIULIANA ma dwanaście lat, krucze jak wszystkie dziewczęta Kampanii włosy i ogromne, ciemne oczy. Widzą one wszystko inaczej niż oczy tysiąca podobnych dziewcząt. Są zaczarowane. Szkli się w nich świat Giuliany, dziwny, poplątany fantazją świat, niepodobny zupełnie do tego, który ją otacza. Nawet sędziwy Paolo, dziadek Giuliany, który sam kiedyś w operze San Cario w Neapolu zaczarowywał skrzypce, nie może odczytać jej baśniowego alfabetu.

— Giuliana?.. Piccola Giuliana?..

Podziw swój dla małej umie wyrazić patetycznym gestem dawnego koncertmistrza: złożeniem na piersi wykręconych artretyzmem palców i wniebowziętym spojrzeniem.

— Giuliana zostanie wielką poetką... Zobaczycie, ja wam to mówię... Ona układa takie historie, których wcale nie ma... Nie ma, ale je słychać... O... — unosi do góry skrzywiony palec każąc wsłuchiwać się w niemy dzień.

Ojciec Giuliany, Pietro, nie lubi słuchać podobnych bzdur. Wie, że w słowach starego nie ma ani cienia prawdy.

— To kiszki marsza ci grają... Głupi jesteś, Paolo. Już ci się w głowie zaczyna mącić. A Giuliana jest przewrotna, mała smarkula. Chce się tylko wykręcić byle czym od pracy! — nagle Pietro zaczyna krzyczeć na starca, który kuli się ze strachu.

— Basta! Dosyć tych bzdur! Patrz na moje łapy, jakie są zmarnowane... Spękane jak twoja, Paolo, twarz... Pieką mnie, jakby mi je kto ogniem smalił. Nie pytasz się, czemu mnie pieką?.. Patrz, co siedzi za pazurami.. Glina... A tu?.. — Pietro odgina szeroko dłoń. Jest żółta, szorstka, poorana tysiącem szram. W niektórych z nich zakrzepła brunatna krew.

— Ryję tymi grabiami od świtu do nocy, aby zapełnić wam brzuchy... O santa Madonna, jakie są głębokie... Gdybyście mogli nie jeść chociaż przez tydzień... Nie paliłyby mnie przez siedem dni, Paolo...

Pietro trzyma w milczeniu rozczapierzone ręce. W gniewie są straszne. Mogą uczynić każdemu wielką krzywdę, mimo to Paolo zbiera się na odwagę i podchodzi do zięcia. Zamyka mu dłonie i siada na ławie.

— Przyłożę ci swoją maść od artretyzmu, Pietro... Dał mi ją padre Lorenzo...

Pietro krzywi się z gniewu.

— Schowaj ją na swe kulasy. Rzępoliłeś przez tyle lat różnym księciom i hrabiom, aby im się dobrze trawiło, a sam skręcałeś się z głodu. I co masz teraz z tego? Co?.. Pokręcone ręce. I maść od wielebnego padre... Tfu, Paolo... Niech ci wielebny padre Lorenzo wysmaruje nią drogę do nieba, abyś łatwiej mógł się tam wdrapać... Ale ja nie chcę, słyszysz?!.. Nie chcę!.. Nie dam się tym wszystkim Mamertom i Lorenzom, którzy ci smarują łapy, a potem biją kijem w tyłek. Basta! Tak, Paolo, zdychamy z głodu, gniotą nas, Paolo, duszą, aż sok idzie z nosa, a ty pleciesz nie wiadomo co. Buntujesz mi smarkulę. Giuliana zacznie pracować i to zaraz! Patrz!

Pietro wyciąga z kieszeni złożony w czworo papier. Patrzy nań z nienawistnym szacunkiem, jakim darzy się każde urzędowe ponaglenie o zapłatę pieniędzy.

Paolo rozwija drżącymi rękami szeleszczący arkusz. Ma kiepski wzrok, mimo to bez okularów dostrzega widniejącą po środku, podkreśloną czerwonym atramentem liczbę.

— Dziesięć tysięcy lirów, Pietro?... — pyta drewnianym głosem. Starzec pracuje szybko myślą. Po chwili podnosi zaniepokojony wzrok na zięcia.

— Pietro... — szepce trwożliwie. — Pietro, co chcesz zrobić z Giulianą?

W izbie panuje przykre milczenie. Jedynie Pietro zanurzył kudłaty łeb w wielkim garnku z makaronem i je łapczywie i długo. Starzec przenosi niespokojny wzrok na swą córkę, Paolę.

— Paola, to chyba nieprawda?.. Paola, odpowiedz...

Paola krząta się nad paleniskiem. Gasi ogień, a następnie skrzętnie zbiera niewypalone drzewo. Podnosi się ciężko z ziemi. Twarz ma pomarszczoną tysiącem kłopotów. W milczeniu wkłada staremu do ręki blaszaną łyżkę i podsuwa płaski talerz.

— Masz, jedz...

Starsza córka Pietra, Chiara, ma teraz okazję odegrać się na siostrze. Łasi się przymilnie do ojca.

— Mamerto oduczy ją tych bzdur. On nie przepuści żadnej dziewczynie..

Przenosi z kolei triumfujący wzrok na starca i bezwstydnie wypina wzdęty brzuch.

— Stul pysk, stupida ragazza! Schowaj brzuch i pilnuj swego nosa! — Pietro hamuje się, aby nie spuścić Chiarze tęgiego lania. Cofa jednak swą pięść, widząc, jak jej pożółkła, niemal szara twarz wykręca się nagle z bólu. Dziewczyna zrywa się z miejsca, zaciska dłonie i wybiega na dwór. Słychać jej płacz i oddalający się trzepot bosych nóg.

Paolo nie jest już głodny. Strapienie może go bardziej nasycić niż wielka porcja makaronu. Chce odsunąć od siebie talerz, ale w tej chwili Pietro wyciąga głowę z garnka i mruczy:

— Żryj, Paolo... Dziś już nic więcej nie będzie. Prawda, mamma?

Paola nie odpowiada. Odkłada na miseczkę porcję dla Giuliany. Potem siada na progu izby rozkładając na kolanach długą, niegdyś białą suknię, w której Giuliana pójdzie do Komunii. Przez chwilę mocuje się z igłą i nitką, lecz bezskutecznie, gdyż drży jej ręka.

Pietro krzywym okiem obserwuje żonę. Nagle wyjmuje jej z rąk igłę i nić i szybko przewleka ją przez uparte uszko. Stara się teraz mówić cicho i łagodnie:

— Niedowidzisz już, mamma...

II

GIULIANA idzie do kościoła w San Popolo, którego biała, czworograniasta wieżyczka kołysze się wśród wzgórz. Wzgórza są porośnięte skąpą, wyprażoną przez słońce trawą. Powietrze zawieszone nad nimi drży od gorąca. Zupełnie jak pajęczyna.

Giuliana przysiada na przydrożnym kamieniu i wodzi oczami po niebie, wzgórzach i niknącej za nimi plamie miasta Benevento. Na niebosiężnej pajęczynie dostrzega nawet czarnego pająka, który przyczajony na szczycie jednego ze wzgórz, czyha na swą ofiarę. Pająk wtulił głowę w garbaty kark i pozornie tylko zastygł w bezruchu. Za chwilę może poderwać się i jak cyrkowy artysta wdrapać się po jednej ze swych niewidzialnych strun.

Giuliana przymyka oczy. Boi się spłoszyć wzrokiem mistrza akrobacji. Wydaje się jej, że za chwilę rozpocznie on swe tajemnicze misterium i rozkołysany na wietrze przefrunie ponad dzwonnicą kościoła w San Popolo, aby się wdrapać na jedną z chmur.

Suchy kaszel budzi ją z fantazji. Skulony na szczycie wzgórza pająk skinął głową i w tej chwili spod jego nóg oderwał się kudłaty, biały pies. Przez chwilę pies toczy się jak kula po wzgórzu, a następnie spada w dół, między stado owiec.

Giuliana, mimo że lubi Valentina, z żalem wymienia wyimaginowanego pająka na pokracznego pastucha. Valentino od wielu już lat pasie owce na wzgórzach Kampanii. Zrósł się zresztą z nimi tak silnie, jak garb, którego nie może od urodzenia strząsnąć ze swych pleców.

Valentino zastępował zwykle Giulianie drogę, gdy szła do kościoła, i podskakując na krzywych nóżkach potrząsał zabawnie garbem. Usiłował ją schwycić ręką bądź też swym kijem i w ten sposób wymusić na niej okup — ciekawe słowo lub uśmiech ogromnych oczu.

Dziś Valentino stracił swą zwykłą chęć na przekomarzania i figle. Siedzi pochmurny, opuściwszy nisko głowę. Groźny kostur zwisa mu z rąk.

Dziewczynka podchodzi na palcach do pastucha.

— Valentino...

Pastuch opuszcza jeszcze niżej głowę, która zdaje się wyrastać mu teraz prosto z brzucha. Giuliana nie czuje przed nim lęku ni obrzydzenia, lecz delikatnie dotyka garbu, tak jakby był ze złota.

— Smutny Valentino...

Valentino wpatruje się tępo w kotlinę, po której wśród szarego stada owiec uwija się pies. Pies nazywa się Amico, ale wszyscy wiedzą, że dla Valentina jest więcej niż przyjacielem. Między panem a psem istnieje ciche porozumienie, bliskie prócz nich dwóch jeszcze tylko Giulianie. Potrafią z sobą rozmawiać bez słów.

Amico po paru zagonach przystaje i z daleka, z sąsiedniego wzgórza, kiwa do swego pana ogonem i czeka na dalszy znak. Dziś nawet Amico jest poważnie zaniepokojony. Zamiast bowiem potrząsania kosturem i okrzyków: Amico, avanti, Amico! — lub — Amico, a dietro, a dietro! — gderliwy zazwyczaj pan milczy jak kamień.

Giuliana czuje ściskanie w gardle, ale odważnie stawia pytanie:

— Chory jesteś, Valentino?

Pastuch porusza się niecierpliwie i strząsa z garbu rękę dziewczynki.

— Chory... chory... — zrzędzi strzykając śliną. — Nie każdy jest taki bogaty, aby mieć czas na chorobę...

Giuliana ma już teraz pewność, że z Valentinem dzieje się coś niedobrego. Siada u nóg pastucha i ściąga poważnie brwi. Podpiera piąstkami brodę i wpatruje się mocno w skrzywioną twarz garbusa.

— Nie chcesz już na mnie patrzeć, Valentino? Ale ja i tak zostanę. Nie ruszę się stąd, dopóki ciebie nie pocieszę. Mój dziadek, Paolo, mówi, że nie wolno zostawiać cierpiącego samemu sobie. Trzeba się nim zaopiekować. To i ja zostanę przy tobie. Choćbyś mnie odpędzał... Powiedz mi, biedny Valentino, co cię trapi...

Pastuch zamknął swe myśli w zaciśniętych powiekach. Nie patrzy na Giulianę. Opuścił nisko głowę, kryjąc ją niczym żółw pod swój pancerz. Jedynie szybkie, gwałtowne kółka kreślone kosturem po ziemi są dowodem jego głębokiej rozterki. Zawieszone między nimi milczenie zaczyna się napinać, jak pęczniejąca mydlana bańka. Valentino najchętniej przegoniłby kosturem natrętną dziewczynkę, ale boi się na nią spojrzeć. Wie, że wtedy przegrałby sprawę. Dlatego też próbuje zbagatelizować swe zmartwienie.

— Co ty mi możesz pomóc, piccola Giuliana? Zdejmiesz mi może z pleców mój garb?

Rys. Krystyna Maślanka

Giuliana wie, że jest to niemożliwe, przysuwa się jednak bliżej do pastucha i stara się objąć go troskliwie ręką.

— Teraz już wiem na pewno, że masz straszne zmartwienie. Valentino, popatrz mi w oczy... Ja wiem... Zgubiłeś owcę, powiedz...

Pastuch zrywa się wściekły z kamienia.

— Kto ci o tym powiedział, mów! Mów, ragazza! Ojciec?... — Zakrzywiony kostur trzyma wysoko w górze, jakby godził nim w dziewczynkę. Giuliana kuli się nisko wlepiając weń przerażone oczy.

— Skąd wiesz o tym, Giuliana?! Kto ci o tym mówił? To niemożliwe, aby ludzie już o tym wiedzieli... A jeśli wiedzą... Giuliana... — głos Valentina staje się cichszy. Przysiada z powrotem na kamieniu i nachyla się nad dziewczynką.

— Skąd wiesz, Giuliana, że zgubiłem owcę Mamerta?

Giuliana nie mówi nic, tylko potrząsa w przerażeniu głową.

— Teraz już wiesz?... Capisco?...

Dziewczynka rozumie dobrze zmartwienie pastucha.

Ubiegłego lata pasł owce Mamerta Giovanni Przybłęda, głupawy chłopak, który za chlebem przywędrował aż z dalekiej Sycylii. Giovanni nie nadawał się na pastucha, gdyż świat cały dzwonił mu w uszach tak głośno, że nie odróżniał cienkich dzwoneczków, zawieszonych na szyjach owiec, od dzwonów w San Popolo. Mamerto trzymał go tylko dlatego, że Giovanni zadowalał się lada jakim jedzeniem i odzieniem, spał między stadem i nie rozumiał się na lirach. Oszczędność Mamerta nie wyszła mu jednak na dobre. Giovanni rozpuścił stado po wzgórzach i nie mógł doliczyć się paru sztuk. Od tego czasu wszelki zaginął po nim ślad. Podobno Mamerto oddał go w ręce karabinierów i chłopak gnije dotąd w więzieniu w Neapolu. Byli jednak tacy, którzy mówili po cichu, że Mamerto po prostu zatłukł chłopaka kijem. Kto zresztą wie dokładnie, co się stało z Przybłędą?...

Giuliana pamięta dobrze Giovanniego. Dlatego tuli się do Valentina, jakby chciała swym wątłym ciałem zasłonić go przed kijem Mamerta.

— Valentino... Szukałeś jej dobrze?... Może źle liczyłeś?...

Pytania Giuliany są zawieszone w próżni. Żaden bowiem z okolicznych pastuchów nie jest tak dokładny w pracy, jak Valentino.

— Czy bardzo droga taka owca?

Valentino potrząsa z rezygnacją głową.

— Droga?... Mia cara... Mamerto ma ich tyle, że może codziennie aż do śmierci żryć baraninę... A ja? Dla mnie jedna owca warta jest tyle, co mój los, capisco?

— Nie masz pieniędzy, aby za nią zapłacić? Możesz ją odrobić...

— Nie mam nic, Giuliana... Wszystko, co miałem, oddałem padre Lorenzo... Szukaliśmy jej wszędzie, ja i Amico... Nigdzie, ani śladu. Zaszedłem do padre. Mówię mu co i jak. A on odpowiada: daj na ofiarę świętemu Antoniemu. On ci dopomoże — tak powiedział. Dałem mu sakiewkę, przeżegnał mnie i mówi: idź i szukaj... Porca miseria, oszukał mnie... Oddał mi owcę, oddał, Giuliana, ale martwą. Znalazłem ją na torze koło Benevento. Leżała poszlachtowana, tylko flaki ciągnęły się po szynach chyba na kilometr... Co miałem robić, Giuliana... Pozbierałem ją. Zrobiła się taka mała, jak kot. I co teraz będzie?... Jak Mamerto się dowie...

— On cię zabije, Valentino...

Valentino opuszcza nisko głowę.

— Musisz uciekać... Zaraz. Póki Mamerto nie doliczy się owcy. Jak się dowie...

— Jak się dowie, to dostanę kijem. Nie ruszę się stąd. Dokąd zresztą pójdę?... Nie jestem sam, Giuliana... Nie, to nie Amico. On da sobie radę z każdym panem. To jest najlepszy pies pasterski w całej Kampanii. Ale to... — Valentino klepie się z rezygnacją po garbie. — Każdy, kto mnie zobaczy z takim bagażem, od razu się zapyta: Valentino? Dokąd idziesz, Valentino?... Albo: Coś zbroił, Valentino?... Jest to ślad, po którym karabinierzy znaleźliby mnie na końcu świata...

Wokoło jest cicho, tylko w dole, wśród wzgórz, gdzie kłębi się szaro-białe stado, słychać srebrzyste dzwonienie. Na przeciwległym wzgórzu stoi nadal, zaparty w ziemię, nieruchomy Amico i milcząco śledzi rozmowę swego pana z Giulianą.

Nic się w zasadzie nie zmieniło od paru chwil, a mimo to Giulianie wydaje się, że cały świat stracił swój jasny, przejrzysty kolor. Jest dziwnie szary, a rozpalone niebo pokryło się chmurzystą zasłoną.

— Nie ma wyjścia, Giuliana... skoro sam santo Antonio nie chciał pomóc biednemu pastuchowi, to nikt mi już więcej nie dopomoże... Porco Antonio.. Oszukał mnie...

— Valentino... — Giuliana przysuwa się blisko do pastucha. — A może ja ci pomogę?... Padre Lorenzo mówił, że dzieci, które idą do Komunii, mogą wyprosić u Madonny każdą rzecz... Są tak niewinne, że im nie może się stać nic złego. Ja pójdę do Mamerta.

— Ty, Giuliana?... Po co, piccola Giuliana?...

— Powiem mu... powiem mu, że to ja ukradłam owcę z twego stada...

— Giuliana... — głos pastucha jest pełen przerażenia. — Ale on ci nie uwierzy... Po co ci owca?...

Giuliana uśmiecha się.

— Po co?... Ja mu już powiem... Uwierzy mi, na pewno...

Valentino wpatruje się zdumiony w dziewczynkę. Wydaje mu się teraz zupełnie inna, jakby doroślejsza, pełna wewnętrznej powagi.

— Giuliana... — szepce wyciągając do niej rękę. Ciężkie brzemię troski, które przyduszało go do ziemi, pomału zsuwa mu się z pleców.

— Ciau, Valentino... Pomodlę się za ciebie... Madonna mi dopomoże, bo jutro idę do Komunii... Ciau...

Giuliana odwraca się i biegnie w stronę San Popolo. Odwraca się dopiero na sąsiednim wzgórzu. Dusi rękami serce, które bije mocno ze zmęczenia i strachu. Z daleka widzi, jak Valentino macha jej kosturem. Potem wygraża coś psu. Amico wpatruje się przez chwilę w swego pana, nagle zrywa się i jak kula spada w dół na stado.

III.

GIULIANA zasłuchana w swą troskę wchodzi na przykościelny cmentarz. W samym jego rogu, pod cienistymi drzewami, padre Lorenzo przygotowywał dzieci do pierwszej Komunii. Dziś jest ostatni dzień nauki, po której odbędzie się spowiedź. Padre Lorenzo nie wyszedł jeszcze z plebanii. Toczy w niej ważną naradę. Dzieci korzystając z przerwy bawią się na cmentarzu. Kilkoro z nich dostrzega Giulianę. Podbiegają wesołe, beztroskie, ciągną ją za włosy.

— Giuliana furiosa! Giuliana furiosa! Giuliana, opowiedz nam bajkę... Giuliana, opowiedz...

Dziewczynka chce pozostać sama, ale nie może wydostać się z otaczającego ją barwnego koła. Dzieci ująwszy się za ręce kręcą się wkoło niej kolorowym, mieniącym się tańcem. Giuliana poprzez łzy widzi czerwone i niebieskie kręgi, falujące sukienki, niecierpliwe, wpatrzone w nią oczy.

— Giuliana, opowiedz nam bajkę...

Giuliana wie, że nie wyjdzie z kręgu, dopóki nie okupi się opowiadaniem. Przyzwyczaiła się do tego, że każdy oczekiwał od niej uśmiechu lub słowa. Dlatego cierpliwie podnosi do góry oczy odpędzając na później natrętne myśli i szuka wśród liści rosnącego kasztanu małego gniazdka. Potem zastanawia się chwilę. Dzieci milkną i siadają dookoła niej ciasno.

— Tę bajkę opowiadał mi dziadek Paolo... — rozpoczyna Giuliana. Dzieci zamieniają się w posążki. Wiedzą, że wszystkie bajki Giuliany które rozpoczynają się w ten sposób, są bardzo ciekawe i smutne.

— To było dawno, bardzo dawno temu... Wokoło nas rósł gęsty las, a na miejscu, gdzie dziś leży Benevento, stał na skale warowny zamek. Z zamku prowadziły drogi do innych miast, ale jedna z nich wiodła w stronę morza, do stóp boga Wezuwiusza...

— Ale, co pleciesz — odzywa się czyjś głos, lecz ginie ofukany przez pozostałe dzieci. — Giuliana, nie słuchaj, opowiadaj dalej...

Giuliana uśmiecha się smutno, kręcąc w ręku sukienkę.

— Bóg Wezuwiusz mieszkał we wnętrzu płonącej góry. W dzień przeglądał się w zwierciadle morza, a w nocy oddychał płomieniami... Gdy gniewał się, drżała wkoło ziemia i drżeli ludzie, mieszkający u stóp strasznej góry. Bali się, że zagniewany bog spali ich płonącym oddechem. Czasem, gdy Wezuwiusz był wyjątkowo zły, ciskał w dół, na miasto, skały tak potężne, jak wzgórza pod San Popolo, lub sypał deszczem z ognistego popiołu. Aby go uspokoić, trzeba było składać raz na rok okup...

Miasto, które nie zapłaciłoby okupu, czekał los, jaki spotkał kiedyś wielkie miasto nad morzem, Pompeje. Dziadek Paolo, który oglądał je z bliska, opowiadał mi, że musiał tam padać tak gęsty deszcz z popiołu, że całe miasto zostało zasypane, a ludzie w nim żyjący musieli się udusić. Nikt nie uratował się żywy.

Dlatego też raz w roku, w lecie, gdy bog Wezuwiusz był najbardziej zagniewany i trząsł wkoło całą ziemią, objeżdżał na czarnym rumaku specjalny goniec wszystkie miasta, które mogły ulec zagładzie. Znaczyło to, że za tydzień od chwili przybycia gońca trzeba będzie wyprowadzić zeń stu chłopców i sto dziewczynek i ofiarować je w darze złemu bogowi. Ale nikt nie chciał z własnej chęci oddać swych dzieci na pożarcie Wezuwiuszowi, bo każdy kochał je. Matki chowały dzieci po piwnicach, a ojcowie radzili nad tym, jak je ocalić. Jedni mówili, że należy oddawać z każdej rodziny co trzeciego syna i co drugą córkę, ale wtedy inni odradzali, bo nikt nie chciał wtedy mieć dużo dzieci i miastu groziło wymarcie. Dlatego też byli tacy, którzy mówili, że właśnie ci, którzy mają mało dzieci, muszą za karę poświęcić je Wezuwiuszowi. Nie było między nimi zgody, jak zawsze nie ma zgody między dorosłymi. Ale znalazł się jeden człowiek w Benevento, najbogatszy, który miał w mieście dziesięć sklepów i dziesięć kamienic. Powiedział on tak: po co mamy oddawać Wezuwiuszowi swoje własne dzieci? Jest tylu biednych ludzi, którzy zgodzą się za zboże, sukno i wino oddać swoje córki i swoich synów...

Na rynku w Benevento leży jeszcze wielka, kamienna płyta...

— Si, leży... Widziałem sam na własne oczy — potakuje mały Enrico. Dzieci kulą się, gdyż bajka staje się coraz bliższa prawdy.

— Dziadek Paolo pamięta, że wtedy, gdy był jeszcze małym chłopcem, płyta wystawała z ziemi. O, tyle... — Giuliana pokazuje na swej nodze wysokość kamiennej płyty. — A dawniej jeszcze sterczała wysoko nad ziemią. Prowadziły do niej marmurowe schody. Po tych schodach biedni ludzie z Kampanii, którzy nie mogli wyżywić swych dzieci, wprowadzali je na podwyższenie i sprzedawali bogaczom z Benevento za tysiąc lirów.

— Za tysiąc lirów? — dziwi się Enrico. — Tak mało?

— Dostawali jeszcze zboże i dużo, dużo wina, aby mogli pijąc je zapomnieć o własnych dzieciach. A potem sprzedane dzieci odprowadzano do świątyni, gdzie kapłani przyoblekali je w białe, długie szaty. Od tej pory nie wolno było nikomu z nimi rozmawiać, ani też zbliżać się do nich. Były już poświęcone Wezuwiuszowi. Następnego dnia odprowadzano je drogą nad morze, do stóp wielkiej góry. Od morza wiedzie wąska, kręta ścieżka na sam szczyt. Szły tam długim, białym szeregiem. Nad samą pieczarą Wezuwiusza zatrzymywały się i czekały nocy... Jeśli zachowały się odważnie i stały cicho, bez słowa, milczenie mogło je uratować. Bóg Wezuwiusz spał, ale sen miał niespokojny. Zbudzić go mógł płacz, a nawet mocniejszy stuk serca. Nigdy też się nie zdarzyło, aby komuś nie zabiło mocniej serce. Zbudzony Wezuwiusz wysuwał wtedy ręce z wnętrza swej pieczary i chwytał te, które były mniej odważne. A te, które wytrwały, zamieniały się w gwiazdy i ulatywały w górę, do dobrego Boga... Dziadek Paolo mówi, że nad Kampanią dlatego tyle świeci gwiazd, bo nasze dzieci są odważne i grzeczne...

— A te, które płakały?... — pyta znów Enrico.

— Nigdy ich nikt więcej nie widział. Bóg Wezuwiusz chwytał je i pożerał... Potem dymił z zadowolenia. Gdy był syty, nie ciskał więcej kamieni na miasto...

Dzieci milczą. Giuliana rozwiesiła nad nimi smutną ciszę.

— A czy teraz też się sprzedaje Wezuwiuszowi dzieci? — pyta się ciekawy Enrico.

— Nie, Enrico...

Dzieci obracają się jakby zbudzone ze snu, w stronę dochodzącego głosu. Padre Lorenzo podobny do chodzącej, nieco za tęgiej dobroci, stoi od dłuższego czasu za nimi i przysłuchuje się opowiadaniu Giuliany. Nie lubi słońca, gdyż topi się w nim tysiącem kropel potu. Nie może jednak czmychnąć pod rozłożyste drzewo, rosnące w rogu cmentarza, ponieważ nie jest sam. Towarzyszy mu na czarno ubrany mężczyzna, który badaw-

(Dokończenie na str. 10 i 11)

Redaguje Zespół. Prenumerata miesięczna 4 zł. Kwartalna 12 zł. Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43, tel. 8-60-11 (15)). Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze. Zakłady Drukarskie i Wklęsłodrukowe RSW „Prasa" W-wa Marszałkowska 3/5.
Zam. 2703.
B-6-14583.

CHRZEŚCIJAŃSTWO I POSTĘP

MIKOŁAJ ROSTWOROWSKI

NA atmosferę wygodnictwa myśli katolickiej w Polsce pracowały wieki. Trudno więc się dziwić objawom zaskoczenia, a nawet zdenerwowania niektórych środowisk katolickich materialistyczną ofensywą intelektualną przeciw istocie religii tak błyskotliwie prowadzoną przez „Po prostu", a wspartą ogniem cięższych dział na łamach „Myśli Filozoficznej". Niestety, ciągle jeszcze stan przeciętnego uświadomienia religijnego dysponuje wielu katolików raczej do przybrania pozy mężnych ofiar napaści, niż do podjęcia rzeczowej konfrontacji poglądów. W tym przeświadczeniu utwierdził mnie udział w publicznej dyskusji z Januszem Kuczyńskim toczonej na Uniwersytetach Jagiellońskim i Warszawskim. Towarzyszył tym polemikom klimat szczerej dociekliwości i kurtuazji wolnej w dodatku od politycznej demagogii. I to właśnie najbardziej zaskakiwało ludzi spragnionych widoku rzymskiej areny. Nie znaleźli tam bowiem najmniejszej okazji do myślowego uniku osłanianego korporanckim: „biją naszych — nie damy się". Mecz nie skończył się knock-outem, lecz wyjaśnieniem zajmowanych przeciwstawnych stanowisk. Czy rozumiecie jak to nadwerężało odporność psychiczną osób skłonnych deklamować o męczeństwie za wiarę, ale niezbyt kwapiących się do myślenia o jej przesłankach i konsekwencjach? Jak było do przewidzenia, z jednej skrajności najłatwiej popaść w drugą. Właśnie na tych katolikach równie żarliwa jak uproszczona argumentacja J. Kuczyńskiego zdawała się czynić szczególnie silne wrażenie.

Tocząca się dyskusja nie tylko potwierdziła apostolski charakter zmagań ruchu o zmianę stanu intelektualnego niedozbrojenia polskiej religijności. Wykazała ponadto celność naszego twierdzenia, że tylko z pozycji społecznie postępowych można prowadzić twórczy dialog między katolicyzmem a światopoglądem materialistycznym.

Wielokrotnie podkreślaliśmy, że w warunkach socjalistycznego budownictwa marksiści oceniają katolicyzm poprzez osąd jego skutków społecznych. Janusz Kuczyński i prof. Legowicz nie stanowią wyjątku od tej reguły. Polemika dotycząca istoty religii nie dostarczyła na ogół z marksistowskiej strony wielu pobudzających do myślenia stwierdzeń. Natomiast skłania do zastanowienia wszędzie tam, gdzie nasi marksistowscy polemiści oceniają rolę społeczną zbyt dowolnie zresztą wyłuskiwanych z historii faktów, tworzonych przez katolików. Celem niniejszego artykułu jest odnotowanie pozytywów oraz wskazanie kilku nieporozumień i niekonsekwencji, które się wkradły do dość pośpiesznych uogólnień dokonanych na łamach „Po prostu". To powinno się przynajmniej przyczynić do wprowadzenia naszej polemiki na płaszczyznę, gdzie obie strony mówią językiem wzajemnie rozumianym. Niesposób się jednak łudzić, żeby kilka poniższych wyjaśnień miało moc zlikwidowania w skali społecznej innego problemu, który rzeczywiście istnieje, i który skuteczność współczesnego apostolatu katolickiego niesłychanie osłabia. Mam tu na myśli nieprzydatność tradycyjnych metod katechetycznych dla przyswajania prawd katolickich umysłowości ludzi wdrożonych do dialektycznego i historycznego myślenia. Chodzi, z grubsza biorąc, o tę część wierzących obywateli, którzy otrzymali wykształcenie w Polsce Ludowej. Wyniki opartych na praktyce teoretycznych dociekań naszego ruchu w tej dziedzinie domagają się zatem w sposób naglący szerokiej popularyzacji.

Nie wolno zapominać, że ruch nasz zapoczątkował tu pracę pionierską. Tradycyjny bagaż myślowy bywa poddawany rewizji w ogniu walki. To hamuje tempo poruszania się, neutralizuje siłę kontrargumentów jakie wysuwamy, a przede wszystkim wpływa na osłabienie ich powszechnej zrozumiałości. Wymienione okoliczności nie nastrajają pesymistycznie tylko dlatego, że bardzo wyraźnie widzimy kierunki rozwojowe procesu wynikającego ze spotkania katolicyzmu z materializmem marksistowskim. Rosnący zasięg oddziaływania ruchu i fakty społeczne z nim związane dowodnie wskazują, że to on właśnie, reprezentujący katolicyzm świadomy swych podstaw dogmatycznych i rozumowych, jest organicznym produktem polskich przemian rewolucyjnych. Stąd uzasadnione przekonanie, że ruch wytrzyma „konkurencję" postaw fideistycznych, które pod wpływem byle podmuchu gotowe są w sposób równie bezproblemowy akceptować światopogląd materialistyczny.

CO WARTO ODNOTOWAĆ?

KURZ polemicznej wrzawy nie powinien nam przesłonić dotychczasowych dodatnich rezultatów dyskusji. Przede wszystkim warto podkreślić fakt jej „uterenowienia". To już nie jest mniej lub bardziej elitarny dialog wtajemniczonych, ale szeroka, żywo nurtująca umysły wymiana poglądów ludzi, którzy zajmując przeciwstawne stanowiska światopoglądowe czują się złączeni koleżeństwem wspólnej odpowiedzialności za kształt budownictwa socjalistycznego. Mamy zatem do czynienia ze zjawiskiem całkiem nowym, ale też najzupełniej prawidłowym dla osiągniętego etapu upowszechnienia założeń ideowo-politycznych ruchu społecznie postępowego katolików.

Jak już stwierdziłem w liście otwartym do Janusza Kuczyńskiego, nieprzypadkowy jest wybór adresata dyskusji o religii. Podczas publicznej dysputy na Uniwersytecie Warszawskim, Kuczyński podtrzymał moją tezę. Oświadczył mianowicie, że jego zdaniem rozprawiając się zwycięsko z doktrynalną zawartością katolicyzmu reprezentowanego w jego, jak się wyraził, „najszlachetniejszej" postaci przez ruch społecznie postępowy — przezwycięża się jednocześnie doktrynę katolicką w ogóle. Oczywiście, nie podzielam ani trochę optymizmu Janusza Kuczyńskiego co do zamierzonych rezultatów jego batalii. Piszę o tym wyłącznie dlatego, że oświadczenie to jest jak gdyby pierwszą jaskółką zwiastującą rezygnację z podejmowanych uprzednio prób przedstawiania nas jako niekonsekwentnych katolików, słowem uczciwych i pożytecznych ludzi mimo „brzydkiej" wiary.

W publicystycznym ferworze padały często zdania zarzucające Kuczyńskiemu i prof. Legowiczowi „niedouczenie" w problematyce katolickiej. Ponieważ sam jestem za te zarzuty częściowo odpowiedzialny, chciałbym zaproponować na przyszłość unikanie tego mocno demagogicznego chwytu polemicznego. Ostatecznie o to przecież chodzi, żeby jak najdokładniej poznać obustronnie zajmowane stanowiska. Zarówno Kuczyński jak i prof. Legowicz włożyli zdaje się wiele wysiłku i samozaparcia w lekturę licznych autorytatywnych publikacji katolickich i to chociażby świadczy o znaczeniu, jakie przypisują możliwie wysokiej naukowej randze dyskusji. Chciałbym tu przypomnieć o pewnej wytycznej ideologicznej postawionej sobie przez nasz ruch przed paroma laty. Postuluje ona jako podstawowe zadanie ruchu w stosunkach między wierzącymi a niewierzącymi przyczynianie się do utrzymania w płaszczyźnie problematyki intelektualnej trawiącego ludzkość na całej przestrzeni historii sporu *filozoficznego* o istnienie Boga i nieśmiertelność duszy. Wskazywaliśmy zawsze, że ukazywanie niewierzącym zjawiska religii w oderwaniu od tego, posiadającego swe filozoficzne zaplecze problemu, naraża nas na zarzut zabobonu. I odwrotnie, mówiliśmy, że postawa areligijna musi być odczytana przez wierzących jako przejaw złej woli, jeśli niewierzący zechcą ją manifestować bez uwzględniania *intelektualnego* charakteru sporu. Utrzymywaliśmy i utrzymujemy, że tylko w tych warunkach jest możliwy wzajemny szacunek między przedstawicielami światopoglądu religijnego i areligijnego. Z satysfakcją trzeba podkreślić, że mimo początkowych, nie zawsze rzetelnych wypadów polemicznych istnieje obopólna troska o respektowanie wymienionych reguł dialogu.

Czytelnicy „Po prostu" pamiętają zapewne z artykułów Kuczyńskiego „Urok wiary" oraz „Drogi zbawienia i drogi życia" chwyt dyskusyjny polegający na udowadnianiu rzekomego antyhumanizmu religii katolickiej poprzez ukazywanie praktycznych konsekwencji „czystego teizmu". W trakcie dyskusji na Uniwersytecie Warszawskim Kuczyński częściowo wycofał się z tego stanowiska. Czy to znaczy, że przestał podejrzewać religię o antyhumanistyczną funkcję? Nie śmiem przypisywać mu aż tak daleko idących skłonności samokrytycznych. Sądzę tylko, że zdołaliśmy mu wykazać, że wiara w jednego Boga, stanowiąca podstawowy element naszej doktryny, nie wyróżnia jej jednak w sposób charakterystyczny od innych doktryn religijnych też opartych na teizmie, a mimo to przeciwstawnych katolicyzmowi także w wielu zasadniczych konsekwencjach etycznych. Skoro więc się wyrokuje o moralnej wartości katolicyzmu na podstawie teoretycznych dedukcji, które w myśl przyjętych założeń równie dobrze można by było odnieść np. do mahometanizmu, trzeba tu dostrzec sygnał ostrzegawczy, iż przedmiot analizy nie został wyraźnie sprecyzowany. Pomijać nakaz miłości bliźniego, mówiąc o źródłach chrześcijańskiej moralności, to jakby usiłować zamieść izbę, stojąc na zewnątrz budynku.

Ostatnią sprawą wartą odnotowania jest następujący sąd Kuczyńskiego o istocie religii, zawarty w artykule „Drogi zbawienia i drogi życia": „*Ta zaś* (istota religii — przyp. mój) *jak wiadomo jest w pewnym sensie pozahistoryczna (sądzę, że z tą tezą Rostworowski zgodzi się bez trudu).*" Ależ oczywiście, Kolego Kuczyński. Cieszę się, że ten oczywisty fakt został przez Was zauważony i w ten sposób zwolniliście mnie od udowadniania, że religia nie jest wytworem określonej bazy, fragmentem odpowiedniej nadbudowy. Od momentu ukazania się pracy Stalina o językoznawstwie, to zagadnienie ma wszelkie szanse twórczego opracowania przez myśl marksistowską. Myślę naturalnie o zjawisku nazywanym przez katolików religią *przyrodzoną*, a nie o wspartej na niej, lecz z nią niejednoznacznej religii *objawionej*, chrześcijaństwie, które będąc faktem historycznie umiejscowionym jest w *doświadczalnym* tego terminu rozumieniu pozahistoryczne wyłącznie w aspekcie niezmienności czasowej prawd religijnych i ich trwałej zobowiązywalności.

POSTĘP I MORALNOŚĆ

UPORCZYWA jest niefrasobliwość, z jaką nasi polemiści rezygnują z wiążących ich dyrektyw metodologicznych w chwili przystępowania do analizy ideologicznych postaw katolickich na przestrzeni historii. Wygląda na to, że ideologia i zachowanie ludzi wyznających światopogląd religijny są niezależne od momentu historycznego, pozycji społecznej i uwarunkowań ekonomicznych? Ejże? Osobiście, właśnie naukowemu myśleniu historycznemu, którego nauczyłem się od marksizmu zawdzięczam rozumienie związków między poglądami społecznymi a warunkującą je pozycją klasową. Dlaczego akurat tylko w wypadku ludzi wierzących te determinanty miałyby nie obowiązywać? Dlaczego, skoro naszym polemistom uda się wynaleźć jakiś społecznie wsteczny cytat, czy takież zachowanie świętego, księcia Kościoła lub pisarza chrześcijańskiego, wskazują na religię jako na decydującą przyczynę tego właśnie faktu? Przecież od takiego rozumowania na milę wieje idealizmem i obawiam się, że to tylko na użytek dyskusji z katolikami, posądzanymi o idealistyczne sympatie, poważni marksiści udzielają sobie dyskretnej dyspensy od norm historycznego myślenia. Podobne wrażenie odnoszę, obserwując równie ahistoryczne usiłowanie mówienia o społecznym wyrazie katolicyzmu jako o jednolitej całości. A co sądzić o idealistycznym przymierzaniu kategorii moralnych, wynikających z dziewiętnastowiecznego odkrycia istoty postępu do intencji chrześcijan i tworzonych przez nich zjawisk w odległej przeszłości? Do jakiego wreszcie absurdu dojść można stosując te dowolne, lecz na pewno lekceważące historyzm kryteria — dowiódł prof. dr Legowicz stawiając przed młodym czytelnikiem w artykule pt. „Moralna wartość katolicyzmu" następujący postulat: „Potrzeba teoretycznie i praktycznie skonfrontować te dwie ideowości (marksizm i katolicyzm — przyp. mój) i zdobyć się samemu na ostatnie słowo. Musi to być jednak słowo, po którym nastąpiłby już czyn..."

A ja naiwny myślałem, że metodologia historyzmu uniemożliwia porównywanie tak jakościowo odrębnych zjawisk jak religia (katolicyzm) i teoria rozwoju społecznego, będąca jednocześnie ideologią walczącego proletariatu (marksizm). Zgoda, w obu wypadkach mamy do czynienia z odmiennym zapleczem filozoficznym, z jednej strony dualizm katolicki, z drugiej monizm materialistyczny. Porównujmy zatem te filozofie, ale nie twórzmy sugestii, że opowiedzenie się po stronie naukowego widzenia rozwoju społecznego, czy też zajęcie słusznej pozycji w bitwie klasowej jest jednoznaczne z religijnym odstępstwem.

Czy to znaczy, że katolikom współczesnym ma być obojętne, jak ludzie Kościoła i sam Kościół widziany jako działająca w historii instytucja wpływał lub opóźniał postęp społeczny? Uczestnicząc w ruchu, który od dziesięciu lat zajmuje się wyciąganiem praktycznych i teoretycznych wniosków z wszystkich dostrzeżonych w historii zaniedbań społecznych chrześcijaństwa — jestem dość daleki od podobnie nieodpowiedzialnego zalecenia. Nie wierzę tylko w skuteczność żadnego samokrytycyzmu, który miałby bazować na dowolnym zestawianiu faktów czy przekreślaniu własnej godności przez usłużne potępianie w czambuł instytucji, której się jest członkiem. W historii Kościoła widzę sprawy bolesne, ale także podniosłe i urzekające, nie wątpię, że można je dostrzec również z pozycji rzetelnego obserwatora naukowego. Na to m. in. potrzeba dokładnego ustalenia, co się rozumie przez postęp, i rzeczowej analizy historycznych sposobów ingerowania chrześcijaństwa w życie społeczne. Jeden artykuł oczywiście tego nie załatwi, to wymaga tomów studiów i nie kto inny a intelektualiści katoliccy są moralnie zobowiązani do możliwie szybkiego podjęcia tej pracy, nam w Polsce szczególnie potrzebnej.

Sądzę, że następujące kierunkowe winny wytyczać niezbędną próbę zastosowania metodologii historyzmu do analizy naukowo wymiernej społecznej roli katolicyzmu. Przede wszystkim trzeba ostatecznie zerwać z szantażem moralno-myślowym towarzyszącym powoływaniu się na postęp. Za tym terminem kryje się tyle różnorodnych mistyfikacji, że tolerowanie go w dyskusji naukowej bez każdorazowego definiowania graniczy z jakąś osobliwą formą fetyszyzmu. Znam tylko jedno naukowo sprawdzalne określenie postępu społecznego. Daje się ono wyprowadzić z marksistowskiej ekonomii. Myślę o postępie rozumianym jako *osiąganie zgodności stosunków produkcji z każdorazowym stanem sił wytwórczych.* Jestem ogromnie ciekaw, czy wszyscy dyskutujący o postępowej lub wstecznej funkcji religii na poszczególnych etapach historii tak właśnie postęp rozumieją.

Dostrzegam wielką przydatność tego właśnie e k o n o m i c z n e g o kryterium postępowości, widzę wyraźnie konsekwencje, jakie wynikają dla rozwoju życia społecznego ze wspomnianej zgodności, ale zdaję też sobie dokładnie sprawę jak nieproste są związki postępu gospodarczego i świadomości moralnej w określonych formacjach ustrojowych. W szerokiej skali historycznej niewątpliwie postęp gospodarczy sprzyja ulepszeniu stosunków i świadomości etycznej, w szerokiej skali historycznej krzywda klasowa znajdowała zadośćuczynienie w nowej formacji ustrojowej, ale łatwo to nam stwierdzać d z i ś, z odpowiedniej perspektywy, z odpowiednim dozbrojeniem naukowym zawdzięczanym rewelowaniu tych prawidłowości przez klasyków marksizmu.

Nie wątpię, że pasjonującym tematem historycznej analizy byłoby dokładne prześledzenie w jakiej mierze katolicyzm dopomógł na przestrzeni dziejów w osiąganiu zgodności między stosunkami produkcyjnymi a rozwijającymi się siłami wytwórczymi. Przedwczesne i nieuzasadnione byłoby jednak wyciąganie na podstawie tej analizy wniosków o moralnym stanowisku chrześcijaństwa wobec problematyki społecznej. Jak bardzo niesłuszne jest mechaniczne utożsamianie postępu historycznego z sytuacją humanistyczną klas wyzyskiwanych, wskazuje choćby porównanie losu czeladnika cechowego z okresu późnego feudalizmu z wczesnokapitalistyczną gehenną tkaczów manchesterskich. A przecież tkacze brytyjscy cierpieli okrutniejszy wyzysk w formacji *bardziej* postępowej od feudalizmu.

Dopiero naukowe rozeznanie sprężyn rozwoju społecznego przekonuje nas o moralnej przewadze i większej moralnej skuteczności ruchów rewolucyjnych nad filantropią. Obok ruchów rewolucyjnych znamy jednak także w historii ruchy buntarskie. Największa wrażliwość moralna pozbawiona wiedzy o humanistycznej roli sił wytwórczych nie mogła być dla chrześcijanina kompasem w wyborze między tymi ruchami, różniącymi się obiektywnie przede wszystkim stopniem zgodności z rozwojem ekonomicznym. Dlatego jeżeli się formułuje osąd moralny ludzi Kościoła nie zorientowanych w humanistycznej funkcji postępu ekonomicznego można najwyżej wyrokować o skutkach ich aktywności, natomiast dostrzeżona antypostępowość niewiele rzuca światła na ich poglądy etyczne. Sprawę dodatkowo komplikuje *międzyklasowy* charakter chrześcijaństwa. Gdyby rzeczywiście religia wiązała się w samej swej istocie z nieuchronną reakcyjnością, co za ludzie u licha posuwaliby naprzód historię ludzkości w ciągu tych wieków kiedy chrześcijaństwo było religią panującą?

Jakże naiwne są w tym świetle wysiłki katolickich nadgorliwców usiłujących deklamować o Chrystusie — pierwszym komuniście, lub Ojcach Kościoła — postępowych dlatego, że „nie zatracili ducha ewangelicznego". Pomijając zgoła niepolityczny charakter posłannictwa Chrystusa warto zauważyć, że na przykład w okresie wczesnokapitalistycznym duch ewangeliczny mógł jedynie inspirować uczciwego chrześcijanina do skrajnej antypostępowości. Do czego zmierzam? Po prostu do wykazania oczywistego nonsensu stawiania znaku równania między żarliwością moralną a rolą w postępie ekonomicznym. Trwała zobowiązywalność nakazu miłości bliźniego uprawnia nas natomiast całkowicie do szukania w historii chrześcijaństwa wyrazu uczulenia na krzywdę ludzką. Z góry jednak trzeba założyć, że obiektywizacja tego uczulenia może mieć skrajnie antypostępową wymowę. O tym chociażby świadczy przykład wspaniałej chrześcijańskiej filantropii kultywowanej przez Kościół od 2000 lat.

O uświadamianej moralności społecznej — weryfikowanej rolą historyczną, można mówić sensownie zaledwie od stu lat z kawałkiem, tzn. od naukowych odkryć marksowskich. Przedtem było tylko, także jeżeli chodzi o najuczciwszych, błądzenie po omacku, i kompas miłosierdzia często okazywał się historycznie zwodniczy.

Na marginesie pragnę zasygnalizować problem czekający na analizę mniej ogólnikową, niż na nią pozwalają szczupłe ramy jednego artykułu. Chodzi o wyjaśnienie przyczyn pewnej prawidłowości historycznej, cechującej związki Hierarchii Kościoła z każdorazową klasą panującą. Aprioryczna i apodyktyczna hipoteza prof. Legowicza o „uniwersalizmie teokratycznym Kościoła" opiera się, jak to wykazał artykuł pt. „Dogmatyzm czy historyzm" na tak dowolnych przesłankach, że warto poczekać na bardziej realistyczną próbę potraktowania tego interesującego zagadnienia.

DOGMATY I HISTORIA

PROF. dr Legowicz oznajmia we wspomnianym artykule: „Podstawowe elementy wiedzy o świecie i człowieku w światopoglądzie katolickim zostały zawarte w tzw. dogmatach, albo „twierdzeniach teologicznie pewnych", których formalnie nie należy utożsamiać z dogmatami w ścisłym tego słowa znaczeniu, jakkolwiek w praktyce twierdzenia te do nich się sprowadzają". I dalej: „Merytorycznie pozostają niezmienne i w zasadzie nie dopuszczają żadnej krytyki, nawet jeśli jej wymaga doświadczenie i nauka". — Na czym polega sens tej mistyfikacji: służącej do wmówienia łatwowiernemu czytelnikowi, że katolicyzm jest zaprzysiężonym wrogiem nauki o świecie, podlegającym, jak dziś się orientujemy, ustawicznym przemianom? Po prostu na braku wyjaśnienia, *że religijna wiedza o świecie i człowieku zajmuje się tymi rzeczywistościami jedynie i wyłącznie w świetle ich stosunku do Boga.* To zresztą konsekwentnie wynika z istoty religii nie pokrywającej się ani ze współczesnym pojęciem nauki eksperymentalno-przyrodniczej, ani z jakąkolwiek doktryną ekonomiczno-polityczną.

Nie ulega wątpliwości, że na przestrzeni historii ludzie wierzący szukali w religii wyjaśnienia zjawisk z zakresu skądinąd dostępnego doświadczalnemu i rozumowemu poznaniu. Te dziwiące nas dziś próby wynikały z odpowiedniego stanu świadomości szukających, dlaczego jednak sprawcą niedoskonałego poziomu świadomości naukowej miał być właśnie Kościół, a nie np. charakter panujących stosunków wytwórczych?

Problem tego co zmienne i niezmienne w Kościele jest na pewno ciekawym, obfitującym w konsekwencje praktyczne problemem. Ale prof. dr Legowicz podszedł do niego od niewłaściwej strony, a mianowicie od strony teologicznych dysertacji. Na to jednak, żeby kompetentnie wypowiadać się w sprawach teologii, należy uznać prawdziwość jej pierwszych przesłanek, które ponieważ czerpią swe źródło w Objawieniu, mają dla katolików wartość aksjomatów. Podobnie, jak to było w mojej polemice z J. Kuczyńskim uważałbym za nielojalne proponowanie prof. dr Legowiczowi tego rodzaju dyskusji. Dyskusja między katolikiem a materialistą marksistowskim może się jedynie toczyć na płaszczyźnie w każdej chwili podlegającej doświadczalnemu i rozumowemu sprawdzeniu. Historia, filozofia, nauki społeczne oto jej teren.

Nie wiem, czy tak biegły w zagadnieniach teologicznych polemista łatwo się ze mną zgodzi, gdy go poinformuję, że niezmienny depozyt prawd objawionych zawartych w Piśmie Świętym i Tradycji chrześcijańskiej a strzeżonych i interpretowanych przez Kościół nie potrzebował „ewoluować" pod naciskiem zmian historycznych, ponieważ nie zawiera ani jednej prawdy, którą by eksperyment ludzki był w stanie obalić. Doświadczenie przyrodnicze nie wykształciło dotąd, i wątpię czy kiedykolwiek wykształci, narzędzie sprawdzające prawdziwość któregokolwiek z dogmatów. A mimo to wspólny język w sprawach wszystkiego, co doświadczeniu przyrodniczemu i społecznemu podlega można znaleźć między ludźmi wierzącymi i niewierzącymi. Dlatego wspólnie z prof. dr Legowiczem i J. Kuczyńskim ubolewam nad tymi okresami w chrześcijaństwie, w których obowiązek oddawania czci Bogu nie pociągał za sobą jednoczesnych konsekwencji w dziedzinie troski o rozwój bliźniego, czy dociekliwości w poznawaniu tajemnic przyrody. Oceniając te fakty, ciągle jednak należy pamiętać, że *międzyklasowe* chrześcijaństwo było za nie odpowiedzialne niemal w równym stopniu co nie-chrześcijanie. Piszę „*niemal*", ponieważ za dostępne poznaniu ówczesnej świadomości ludzkiej zło społeczne *bardziej* należy czynić odpowiedzialnymi ludzi obdarzonych kodeksem jasnych i wzniosłych norm moralnych.

Prof. dr Legowicz zakłada, że „można w pełni realizować nakazy wiary bez wiedzy o rzeczywistości w jakiej mają być realizowane". Za przykład takiego właśnie antyintelektualnego katolicyzmu stawia kardynała Ostii Piotra Damiani, który był przeciwnikiem nauki, a jednak dostąpił wysokich godności kościelnych. Sądzę, że kardynał Damiani należał po prostu do tych właśnie, wspomnianych już przeze mnie chrześcijan, którzy w religii szukali odpowiedzi także na pytania poznawcze dotyczące przyrody. W związku z tym jego działanie nie było oparte o pełnię znajomości spraw praktycznych. Czy to było dobrze czy źle? — narzuca się historycznie naiwne pytanie. Jak najgorzej — odpowiadamy. Wspomnianemu kardynałowi Ostii można by przeciwstawić Bacona lub chociażby Cystersów, którzy krzewili w Polsce kulturę rolniczą. Ale przecież nie chodzi o dyskusyjnego palanta, tylko o stwierdzenie, że religia zakładająca m. in. czynną miłość bliźniego i uczestnictwo w dziele Stworzenia zobowiązuje wyznawców do pogłębiania znajomości przedmiotu, który ma podlegać pielęgnacji. Brak aktywności w tym kierunku dowodziłby lekceważenia obowiązującej prawdy religijnej. Natomiast może mi prof. Legowicz wskaże jakąkolwiek ludzką aktywność, nie będącą odruchem, która by się nie opierała na choćby niedostatecznej, ale zawsze znajomości swego przedmiotu. Kontrowersja trąci sporem scholastycznym. Podtrzymuję ją dlatego, ażeby wyjaśnić sprzeczność w jaką się uwikłali nasi polemiści. Z jednej strony zarzucają Kościołowi nadmierne ingerowanie w losy tego świata (uniwersalizm teokratyczny), z drugiej zaś mają mu za złe, że nie interesującego się światem pustelnika Damiani uczynił kardynałem.

A jak w rzeczywistości sprawy się przedstawiały? Niewątpliwie, na przestrzeni historii, obserwujemy wiele faktów świadczących zarówno o niestosowaniu przez chrześcijan nakazów ich religii, jak również o wykorzystywaniu religii na rzecz czynności zasadniczo z nią sprzecznych. Właśnie rozumowanie historyczne, którego rzecznikami winni być J. Kuczyński i dr Legowicz pozwala nam coraz dokładniej zorientować się w charakterze wspomnianych zaniedbań i nadużyć. Właśnie ono pomaga nam ustalić, co *powinno być* istotą religijnej inspiracji w epoce współczesnej. Dzięki rozumowaniu historycznemu pojmujemy, że *automatycznych skutków społecznych nie można wymagać od żadnej w ogóle doktryny,* choćby najwznioślejszej.

Nie wystarczą cytaty nawet ze św. Pawła, kiedy mówi o znikomości mądrości ludzkiej wobec mądrości Bożej — Kolego Kuczyński. W epoce przednaukowej można było wprawdzie w tym cytacie znajdować osłonę dla kultywowania intelektualnej ignorancji, ale to bynajmniej nie wynikało z *religijno-moralnego* charakteru listów Apostoła Narodów.

Piszecie o Bergsonie, który rozum nazywał „rakiem życia". Solidaryzuję się z Wami w niechęci do tego filozofa. Solidaryzuję się w oparciu o katechizm, „Dogmatykę Katolicką" ks. Pietkuna, Chestertona, i B. Piaseckiego, który kiedyś napisał, że „gdyby Bóg nie chciał być wielbiony przez poziom doskonałości stworzyłby zapewne człowieka bez rozumu".

ERNEST HEMINGWAY

ŚNIEG

KILIMANDŻARO to góra pokryta śniegiem, wysoka na 19.710 stóp, uważana za najwyższą w Afryce. Jej zachodni szczyt zwie się w języku Masajów „Ngàje Ngài", Dom Boga. Pod samym szczytem leży wyschłe i zamrożone lamparcie ścierwo. Nikt jeszcze nie wyjaśnił, czego mógł lampart szukać na tej wysokości.

ZDUMIEWAJĄCE, że wcale nie boli — powiedział. — I właśnie po tym się poznaje, kiedy się to zaczyna.

— Naprawdę nie boli?

— Absolutnie nie. Niemniej jednak ogromnie martwi mnie ten odór. Musi ci się dawać we znaki.

— Przestań! Proszę cię, przestań.

— Patrz na nie — powiedział. — Jak ci się zdaje, widok czy zapach je tutaj ściąga?

Łóżko, na którym leżał, stało w obszernym cieniu mimozy i spoglądając z cienia w jaskrawość równiny widział trzy wielkie ptaki skaczące wstrętnie po ziemi, a cały ich tuzin szybował w powietrzu tworząc w przelocie ruchliwe cienie.

— Są tutaj, odkąd się nam wóz zepsuł. Dzisiaj pierwszy raz usiadły na ziemię. Z początku dokładnie obserwowałem ich lot, na wypadek gdybym je chciał włączyć do jakiejś opowieści. Teraz to jest śmieszne.

— Wolałabym, żebyś przestał — powiedziała.

— Ja tylko tak mówię — rzekł. — Lżej mi, gdy mówię, ale nie chciałbym robić ci przykrości.

— Wiesz, że mi to nie sprawia przykrości — odparła. — To tylko dlatego, że stałam się tak bardzo nerwowa, nie mogąc nic poradzić. Myślę, że moglibyśmy uprzyjemnić sobie czekanie, aż przyleci samolot.

— Albo aż nie przyleci.

— Proszę, powiedz, co mam zrobić. Musi być coś takiego, co mogłabym zrobić.

— Możesz mi odciąć nogę i w ten sposób powstrzymać to, choć wątpię. Możesz mnie zastrzelić. Jesteś już dobrym strzelcem. Nauczyłem cię strzelać.

— Proszę cię, nie mów w ten sposób. Może ci poczytać?

— Co poczytać?

— Coś z tych rzeczy w walizce, których jeszcze nie znamy.

— Nie mógłbym słuchać — powiedział mężczyzna. — Najlepiej rozmawiać. Kłócimy się i czas ucieka.

— Ja się nie kłócę. Nigdy się nie chcę kłócić. Nie kłóćmy się już więcej. Choć byśmy nie wiem jak byli zdenerwowani. Może oni wrócą dziś innym wozem. Może samolot przyleci.

— Nie chcę się stąd ruszać — powiedział mężczyzna. — Teraz już nie ma sensu stąd się ruszać, chyba że tobie to ulży.

— To podłość.

— Czy to tak trudno dać komuś umrzeć spokojnie, bez obrzucania go wyzwiskami? Jaki jest sens wyzywać mnie?

— Ty nie umrzesz.

— Nie bądź niemądra. Ja już umieram. Spytaj tych skurczybyków. — Popatrzył tam, gdzie siedziały potworne, brudne ptaszyska topiąc nagie głowy w nastroszonych piórach. Czwarty opuścił się nad ziemię, by potem wylądować na szybkich nogach i pokuśtykać powoli ku innym.

— Są przy każdym obozowisku. Nigdy się na nie nie zwraca uwagi. Nie można by umrzeć, gdyby się o nich myślało.

— Gdzieś to wyczytała? Jesteś przerażająco głupia.

— Myślisz chyba o kimś innym.

— Na miłość boską — powiedział — robiłem to całe życie.

Później leżał spokojnie przez chwilę i patrzył poprzez upalne skrzenie się równiny na skraj bushu. Było tam kilka Tommies rysujących się wyraźnie na żółtym tle, a w dali ujrzał stado zebr odcinających się od zieloności bushu. Przyjemny był ten obóz pod wielkimi drzewami na zboczu z dobrą wodą i tuż obok prawie wyschniętym bajorkiem, z którego rankami umykały głuszce.

— Może chcesz, żeby ci poczytać? — zapytała. Siedziała obok łóżka na składanym krześle. — Zrywa się podmuch.

— Dziękuję, nie.

— Może wóz przyjedzie.

— Cholerę mnie ten wóz obchodzi.

— Mnie obchodzi.

— Jest od cholery rzeczy, które ciebie obchodzą, a mnie nie.

— Nie tak wiele, Harry.

— Napijemy się?

— Może ci zaszkodzić. U Blacka jest napisane, żeby unikać alkoholu. Nie powinieneś pić.

— Molo! — zawołał.

— Słucham, Bwana.

— Przynieść whiskey-soda.

— Tak jest, Bwana.

— Nie powinieneś — powiedziała. — To rezygnacja. Napisane jest, że ci szkodzi. Ja wiem, że ci szkodzi.

— Nie — odparł. — Pomaga.

A więc stało się, myślał. A więc już nigdy nie będzie miał okazji, aby z tym zerwać. Więc taki był tego koniec — w sprzeczce nad kieliszkiem. Od pojawienia się gangreny w prawej nodze nie czuł bólu, a wraz z bólem uleciał strach i teraz pozostało jedynie przemożne zmęczenie i złość, że taki był koniec. Dla tego, co nadchodziło teraz, miał niewielkie zainteresowanie. Lata całe dręczyło go, lecz teraz nie znaczyło nic samo w sobie. Dziwne, jak łatwo dokonało tego zmęczenie.

Teraz już nigdy nie opisze rzeczy, których pisanie odkładał, aż będzie dość wiedział, by dobrze je opisać. Tak, nawet nie doświadczy zawodu przy próbie ich pisania. Może nie da się ich opisać nigdy i dlatego odkładał się i zwleka z rozpoczęciem. Tak, teraz już się tego nie dowie.

— Obyśmy nigdy tu nie przyjeżdżali — powiedziała kobieta. Patrzyła na niego trzymając w dłoni szklankę i przygryzając wargę.

— Nigdy by ci się nie zdarzyło coś takiego w Paryżu. Zawsze mówiłeś, że ubóstwiasz Paryż. Moglibyśmy tam mieszkać, albo gdzieś wyjechać. Pojechałabym wszędzie. Powiedziałam, że pojechałabym, dokądkolwiek bys chciał. Jeśliś chciał polować, mogliśmy jechać na Węgry i byłoby nam dobrze.

— Twoje cholerne pieniądze — powiedział.

— Nie masz racji — odparła. — Zawsze były tyle twoje, co moje, zostawiłam wszystko i szłam gdziekolwiek ty chciałeś iść i robiłam wszystko, cokolwiek ty chciałeś, ale wolałabym, żebyśmy nigdy tu nie przyjeżdżali.

Rys. Gabriel Rechowicz

— Mówiłaś, że ubóstwiasz ten projekt.

— Tak, kiedy byłeś zdrowy. Teraz go nienawidzę. Nie mogę pojąć, czemu się to musiało przytrafić twojej nodze. Co myśmy zrobili, że to się musiało nam przytrafić?

— Przypuszczam, że co do mnie, zapomniałem ją zajodynować, kiedy się w nią zadrapałem. Następnie, nie zwracałem na nią w ogóle uwagi, bo nigdy nie ulegałem infekcji. No, a potem, kiedy się pogorszyło, prawdopodobnie winić należy użycie słabego roztworu karbolu, gdy zbrakło innych środków antyseptycznych, który sparaliżował drobne naczynka krwionośne i wywołał gangrenę. — Popatrzył na nią: — Co więcej?

— Nie o tym myślałam.

— Gdybyśmy wynajęli dobrego mechanika, zamiast tego na wpół upieczonego kierowcę kikuyu, powstrzymałby upływ oliwy i nie popalił łożysk w ciężarówce.

— Nie o tym myślałam.

— Gdybyś nie porzuciła swoich — tych przeklętych typków z Old Westbury, Saratogi, z Palm Beach, żeby latać za mną...

— Kochałam ciebie. Krzywdzisz mnie. Kocham cię teraz. Zawsze cię będę kochała. Czyż ty mnie nie kochasz?

— Nie — odparł mężczyzna. — Nie sądzę. Nigdy nie kochałem.

— Harry, co ty mówisz? Czyś stracił głowę?

— Nie. Nie miałem co tracić.

— Nie pij tego — mówiła. — Kochany, proszę, nie pij tego. Musimy zrobić wszystko, na co nas stać.

— Ty rób — odrzekł. — Ja jestem zmęczony.

UJRZAŁ teraz w duchu stację kolejową w Karagacz: stoi na peronie z kolegami — a tamto to reflektory Simplon Orient przecinające mrok — i właśnie opuszcza Trację, po odwrocie. Była to jedna z rzeczy, które pragnął opisać, a także i to, jak rankiem przy śniadaniu wyglądał przez okno i widział śnieg na górach w Bułgarii sekretarka Nansena spytała starego, czy to jest śnieg, a on spojrzał i rzekł: „Nie, to nie śnieg. Za wcześnie na śnieg". A sekretarka powtórzyła innym panienkom: „Widzicie, że nie. To nie jest śnieg", a one: „Pomyliłyśmy się, to nie śnieg". Ale to był naprawdę śnieg i on je w śnieg posłał. I to po śniegu deptały, nim nie pomarły tej zimy.

I to też był śnieg, który padał cały tydzień Bożego Narodzenia, w tym samym roku, w górze, w Gauteral — mieszkali wtedy w chacie drwala, z dużym porcelanowym piecem, który zajmował pół pokoju, i spali na siennikach wypchanych bukowymi liśćmi — kiedy przeszedł ten dezerter z zakrwawionymi w śniegu stopami. Powiedział, że goni go policja, i dali mu wełniane skarpetki, i przytrzymali rozmową żandarmów, dopóki śnieg nie zaniósł śladów.

W Schrunz, na Boże Narodzenie, śnieg tak się iskrzył, że aż bolały oczy, kiedy wyjrzałeś z winiarni, i widziałeś, jak wszyscy wracali do domów z kościoła. To tam podchodzili w górę wygładzoną płozami, pożółconą uryną drogą wzdłuż rzeki, wśród stromych wzgórz porosłych sosną, narty ciążyły na barkach; i to tam zjeżdżali tą wspaniałą trasą z lodowca nad Madlener-Haus — śnieg był tak gładki, jak lukier na cieście, i sypki jak puder, i pamiętał bezgłośny pęd, z jakim się zlatuje na dół niby ptak.

Przez tydzień byli zasypani śniegiem w Madlener-Haus, tym razem w zamieci kart, w dymie, przy świetle latarni, a stawki wzrastały w miarę, jak Herr Lent coraz więcej tracił. W końcu stracił wszystko. Co do grosza: pieniądze za kurs narciarski i cały zarobek sezonu i wreszcie cały kapitał. Miał go przed oczyma z tym jego długim nosem, podejmującego karty i rozpoczynającego grę „sans voir". Wciąż hazard. Grało się, jeśli nie było śniegu, i grało się, kiedy go było za dużo. Myślał, ile czasu spędził w swym życiu na grach hazardowych.

Lecz nigdy nie napisał ani linijki o tym, ani o zimnym, jasnym dniu Bożego Narodzenia, gdy widać było góry poprzez równinę, którą Barker przeleciał ponad linią frontu i zbombardował pociąg wiozący austriackich oficerów na urlop, siejąc po nich z kulomiotów, gdy rozsypali się w ucieczce. Pamiętał, jak Barker wszedłszy potem do messy zaczął to opowiadać. I pamiętał, jak cicho zrobiło się w messie i ktoś powiedział: „Ty skurwysynie, morderco".

Zabijali wtedy tych samych Austriaków, z którymi później jeździł na nartach. Nie, nie tych samych. Hans, z którym jeździł cały czas w tym roku, był w Kaiserjägers i gdy polowali na zające w małej kotlince ponad wiatrakiem, rozmawiali o atakach na Posubio, na Pertica i Asalone, i on nigdy nie napisał o tym ani słowa. Ani o Monte Corno, ani o Siete Commum, ani o Arsiedo.

Ileż to zim spędził w Voralbergu i w Arlbergu? Cztery, i zaraz przypomniał sobie człowieka, który miał lisa na sprzedaż, kiedy szli na Bludenz, tym razem, aby kupić prezenty, i gorzkawy smak dobrego kirschu, i ślizgające się na szreni fale śnieżnego pyłu wzbijane przez wiatr, śpiew „Hi! Ho! said Rolly", gdy się przebiegało ostatni odcinek trasy do stromego zjazdu, biorąc go szusem, później przez sad trzema zakosami, poprzez rów i na oblodzoną drogę przy gospodzie. Trzask odpinanych wiązań, zrzucenie nart kopnięciem i oparcie ich o drewnianą ścianę gospody, światło padające z okna, a wewnątrz, w zadymionym, pachnącym młodym winem cieple, grano na akordeonie.

GDZIEŚMY się zatrzymywali w Paryżu? — spytał kobiety, która siedziała przy nim na składanym krześle, teraz, w Afryce.

— W Crillon. Wiesz to przecież.

— Czemu mam wiedzieć?

— Zawsze się tam zatrzymywaliśmy.

— Nie. Nie zawsze.

— Tak, i w Pavillon Henri-Quatre w St. Germain. Mówiłeś, że ci się tam bardzo podoba.

— Miłość jest kupą gnoju — rzekł Harry. — A ja kogutem, co się na nią wspina, by zapiać.

— Jeżeli musisz odejść — powiedziała — to czy koniecznie musisz zabić wszystko, co pozostawiasz za sobą? Chciałam powiedzieć, czy musisz wszystko odebrać? Czy musisz zabić swego konia i żonę, i spalić siodło i zbroję?

— Tak — odparł. — Twoje cholerne pieniądze były moją zbroją. Włócznią mą i Zbroją.

— Przestań.

— Dobra. Przestanę. Nie chcę cię ranić.

— Teraz już trochę za późno.

— Świetnie wobec tego. Będę cię dalej ranił. To bardziej zabawne. Jedynej rzeczy, którą naprawdę kiedykolwiek lubiłem z tobą robić, teraz nie mogę.

— Nie. To nie jest prawda. Lubiłeś wiele rzeczy, a ja robiłam wszystko, cokolwiek zechciałeś.

— Och, na miłość boską, przestań się przechwalać.

Spojrzał na nią i zobaczył, że płacze.

— Posłuchaj — rzekł. — Czy ci się zdaje, że mi przyjemnie to robić? Nie wiem, czemu to robię. Wyobrażam sobie, że jest to próba utrzymania się przy życiu kosztem cudzego życia. Było wszystko dobrze, kiedy zaczęliśmy rozmawiać. Nie chciałem z tym zaczynać. A teraz jestem głupi jak baran i bezlitosny dla ciebie, jak tylko mogę. Nie zwracaj uwagi, kochana, na to, co mówię. Kocham cię, naprawdę. Wiesz, że cię kocham. Nigdy nie kochałem nikogo, tak jak ciebie.

Zastawił się znajomym kłamstwem, które uczynił swym chlebem powszednim.

— Jesteś dobry dla mnie.

— Ty suko — powiedział. — Ty przebogata suko. To jest poezja. Jestem teraz pełen poezji. Zgnilizny i poezji. Zgniłej poezji.

— Przestań, Harry, dlaczego zaraz musisz się zmieniać w szatana.

— Nie chcę zostawić niczego — powiedział mężczyzna. — Nie chcę niczego zostawiać za sobą.

BYŁ teraz wieczór — dotąd spał. Słońce zaszło za wzgórze i cień leżał na całej równinie, a małe zwierzątka pożywiały się tuż przy obozie; myszkujące pyszczki i zwinne ogony — obserwował je, trzymające się teraz kawał drogi od bushu. Ptaki już dłużej nie czekały na ziemi. Wszystkie posiadały ciężko na drzewie. Było ich o wiele więcej. Boy do jego osobistych posług siedział przy łóżku.

— Memsahib poszła na polowanie — powiedział. — Czy Bwana czegoś chce?

— Nic.

Poszła upolować jakiś kawałek mięsa, i wiedząc, jak bardzo lubił obserwować zwierzęta, odeszła spory kawał, aby nie robić zamieszania w tym małym zakątku równiny, który mógł oglądać. Zawsze była rozsądna — pomyślał. We wszystkim, co wiedziała, czytała czy kiedykolwiek słyszała.

To nie jej wina, że kiedy przyszedł do niej, był już skończony. Skąd może kobieta wiedzieć, że nie wierzysz w to, co mówisz; że mówi się tylko z przyzwyczajenia i wygody? Odkąd jego słowa przestały znaczyć to, co głosiły, kłamstwa przyniosły mu więcej sukcesów u kobiet niż prawda, którą im mówił.

Nie tyle chodzi o to, że kłamał, ile że nie miał nic prawdziwego do powiedzenia. Przeżył już swoje życie, miał je poza sobą i później zaczął od nowa je przeżywać wśród innych ludzi i z większą ilością pieniędzy.

Starasz się nie myśleć i wszystko jest wspaniałe. Masz dobry żołądek, więc strawisz to, nie tak jak to się wielu przydarzyło, i przybierasz pozę beztroski wobec pracy, którąś zwykł wykonywać, skoro już jej nie możesz spełniać. Lecz wewnątrz mówisz sobie, że chcesz napisać o tych ludziach, o tych bardzo bogatych, że nie jesteś naprawdę jednym z nich, a tylko szpiegiem w ich kraju; że porzucisz ten kraj i napiszesz o nim, a jednocześnie będzie to napisane przez kogoś, kto wie, co pisze. Ale on nie zrobił tego nigdy, bo każdy dzień niepisania, wygody, pogardzanej roli, przytępiał jego zdolności i osłabiał wolę pracy, aż w końcu w ogóle przestał pracować. Ludzie, których znał teraz, byli o wiele bardziej zadowoleni, kiedy nie pracował. Afryka była miejscem, w którym się czuł najszczęśliwszy za dobrych czasów swego żywota, więc przyjechał tu, by zacząć od nowa. Urządzili sobie to safari z minimum komfortu. Nie byli narażeni na trudy, ale i nie mieli luksusu, więc sądził, że na tej drodze będzie mógł dojść do formy. Że w jakiś sposób zrzuci sadło swojej duszy, tak jak zapaśnik idzie w góry pracować i ćwiczyć się, by zrzucić sadło ze swego ciała.

Spodobało się to jej. Mówiła, że to ubóstwia. Ubóstwiała wszystko, co było podniecające, co oznaczało zmianę scenerii, gdziekolwiek byli nowi ludzie i gdzie było przyjemnie. A on miał złudzenie powracającej siły woli do pracy. A teraz, jeśli taki miał być koniec, a wiedział, że tak jest, nie wolno mu się wić jak wąż, który sam się kąsa, bo ma grzbiet strzaskany. To nie był błąd tej kobiety. Gdyby nie była ona, byłaby inna. Jeśli żył z kłamstwa, powinien starać się umrzeć w kłamstwie. Usłyszał strzał spoza wzgórza.

Strzelała doskonale ta dobra, ta bogata suka, troskliwa opiekunka i niszczycielka jego talentu. Nonsens. Sam zaprzepaścił swój talent. Czyż miałby winić tę kobietę za to, że dbała o niego? Sam zniszczył swój talent niewykorzystaniem go, zdradą samego siebie i tego, w co wierzył, pijaństwem aż takim, że przytępiło ostrze czucia, lenistwem, gnuśnością, pychą i przesądem, siłą i przemocą. Cóż to takiego było? Katalog starych ksiąg? Czym był więc jego talent? Był to prawdziwy talent, lecz miast go wykorzystać kupczył nim. Nigdy się nie przejawił w tym, co zrobił, a zawsze w tym, co mógł zrobić. I wolał żyć z czegoś innego niż z pióra. Dziwne też było, że każda następna kobieta, w której się zakochiwał, miała zawsze więcej pieniędzy od poprzedniej. Lecz kiedy już nie kochał, gdy już tylko kłamał, jak teraz tej kobiecie, która miała najwięcej ze wszystkich pieniędzy, miała wszystkie pieniądze na świecie, a kiedyś męża i dzieci, która sobie brała kochanków i nie była z nich zadowolona, a teraz gorąco go kochała jako pisarza i mężczyznę, jako towarzysza i swą dumną własność — dziwne, że kiedy wcale jej nie kochał, a kłamał, potrafił dać więcej za te jej pieniądze, niż kiedy kochał prawdziwie.

Wszyscy musimy to robić, na co jesteśmy stworzeni — pomyślał. Jakby się nie urządzić, życie jest tam, gdzie talent. Sprzedał swą żywotność w tej czy innej formie, całe swoje życie, a kiedy się nie jest zaangażowanym uczuciowo, daje się o wiele większe wartości za pieniądze. Wymyślił to, ale i tego już nigdy nie napisze. Nie, nie napisze tego. Nie napisze tego, chociaż bardzo warto.

Już ją widać idącą odkrytym terenem do obozowiska. Ubrana była w bryczesy i miała strzelbę w ręku. Dwóch boyów podążało za nią niosąc Tommie na drążku. Wciąż jeszcze jest przystojna, pomyślał, i ma przyjemne ciało. Miała uznanie dla łóżka i talent w tym kierunku; nie była ładna, lecz podobała mu się jej twarz, ogromnie dużo czytała, lubiła jeździć konno i polować, i z pewnością zbyt dużo piła. Mąż jej zmarł, kiedy była jeszcze stosunkowo młoda, i na pewien czas poświęciła się dwojgu dorastającym dzieciom, które jej nie potrzebowały i którym zawadzała, a także stajni wyścigowej, książkom i butelce. Lubiła sobie czytać wieczorem przed kolacją, a czytając piła Scotch Whisky and soda. Do wieczora była już jako tako wstawiona, i po butelce wina przy kolacji bywała już dość pijana, żeby móc spać.

To było, nim miała kochanków. Kiedy miała kochanków, nie piła tak wiele, bo nie musiała upijać się, żeby zasnąć. Ale kochankowie znudzili ją. Była żoną człowieka, który jej nigdy nie nudził, a ci nudzili ją bardzo.

A potem jedno z jej dzieci zabiło się w katastrofie samolotowej i kiedy otrząsnęła się z tego, nie pragnęła kochanków, a kieliszek przestał być narkotykiem, którym posługiwała się w ucieczce od rzeczywistości. Ni stąd ni zowąd zaczęła bać się samotności, ale pragnęła mieć kogoś, kogo by szanowała.

Zaczęło się bardzo po prostu. Lubiła to, co pisał, i zawsze zazdrościła mu życia, które wiódł. Sądziła, że robił tylko to, co chciał. Kroki, które poczyniła, aby go zyskać dla siebie, i sposób w jaki ostatecznie zakochała się, należały do normalnego biegu rzeczy, w którym ona zbudowała sobie nowe życie, a on przehandlował to, co mu pozostało z dawnego.

Przehandlował je za bezpieczeństwo, za komfort też, to nie ulega wątpliwości, i za co jeszcze? Nie wiedział. Mogłaby mu kupić, cokolwiekby zechciał, to wiedział. Była też piekielnie miła. Mógłby się równie chętnie znaleźć z nią w łóżku, co z każdą inną; a raczej chętniej z nią, bo była bogatsza, bo była bardzo przyjemna i pełna uznania, i nigdy nie robiła scen. A teraz to życie, które sobie zbudowała, znów dobiegało kresu, ponieważ nie zajodynował kolana dwa tygodnie temu, kiedy jakiś cierń go zadrapał przy próbie sfotografowania stada antylop, stojących wietrząc z uniesionymi łbami, wytężonym wzrokiem, z szeroko rozstawionymi uszami, w oczekiwaniu na pierwszy odgłos, który by je posłał pędem w bush. Umknęły także i one, nim zdążył utrwalić ich obraz.

Oto przyszła.

Odwrócił na łóżku głowę, żeby na nią spojrzeć.

— Jak się masz?

— Ustrzeliłam Tommie. Będzie z niego dobry rosół dla ciebie. Jak się czujesz?

— Dużo lepiej.

— Och, jak to dobrze. Wiesz, myślałam sobie, że może będziesz się czuł lepiej. Spałeś, jak odchodziłam.

— Dobrze mi się spało. Daleko chodziłaś?

— Nie. Tylko za wzgórze. Udał mi się strzał.

— Wiesz, że strzelasz wspaniale.

— Ubóstwiam polowanie. Ubóstwiam Afrykę. Naprawdę. Gdybyś ty był zdrowy, byłoby to najprzyjemniejsze, czego doznałam. Nie masz pojęcia, jak przyjemnie było polować razem z tobą. Ubóstwiam ten kraj.

— I ja też.

— Kochany, sam nie wiesz, jak to cudownie, że ty się lepiej czujesz. Nie mogłabym znieść, gdybyś się czuł tak jak wtedy. Nie będziesz już do mnie tak mówił, prawda? Obiecaj mi...

— Nie — odrzekł. — Nie pamiętam, co mówiłem.

— Nie musisz mnie miażdżyć, prawda? Ja jestem tylko kobietą w średnim wieku, która cię kocha i chce robić to, co ty. Byłam już parę razy w życiu miażdżona. Nie będziesz chciał mnie jeszcze raz zmiażdżyć, prawda?

— Chciałbym cię trochę pomiażdżyć — powiedział.

— Tak. To jest dobre. Jesteśmy na to stworzone, by nas miażdżyć. Jutro przyleci samolot.

— Skąd wiesz?

— Jestem pewna. Musi przylecieć. Murzyni przygotowali drzewo i trawę, żeby zrobić dym. Zeszłam na dół i obejrzałam to jeszcze raz dzisiaj. Starczy miejsca na wylądowanie, ogniska są po obu stronach.

— Z czego wnosisz, że to będzie jutro?

— Jestem pewna. Już tu powinien być. A potem, w mieście, załatwią się z twoją nogą i wtedy...

— Napijemy się? Jest zachód.

— Czy powinieneś?

— Ja się napiję.

— Dobrze, napijmy się po jednym. Molo, letti dui whiskey soda! — zawołała.

— Lepiej włóż ochronne buty.

— Zaczekam, aż się wykąpię...

Pili wśród zapadającego zmroku i zanim stało się zupełnie ciemno,

tłum. WACŁAW NIEPOKÓLCZYCKI

KILIMANDŻARO

a nie dość jasno, aby móc strzelać, otwartą przestrzenią przy obozowisku przemknęła hiena obiegając wokół wzgórze.

— Drań, biega tędy co noc — powiedział. — Noc w noc przez dwa tygodnie.

— To ta, która hałasuje po nocy. Nie zwracam na nią uwagi. Straszne plugastwo.

Pili oboje, nie doznawał teraz bólu, tylko niewygodę leżenia w tej samej pozycji; Murzyni rozpalali ogień, cienie od ogniska skakały po namiotach, czuł powracające przyzwolenie na to życie przyjemnych wyrzeczeń. Ona była dla niego dobra. On dla niej bezlitosny i niesprawiedliwy tego popołudnia. Skończona kobieta, naprawdę wspaniała. I właśnie wtedy przyszło mu na myśl, że umrze.

Przyszło z impetem; nie z impetem wody, ani wichru, lecz z nagła brzydko woniejącej pustki, i dziwna rzecz, hiena przemknęła po jej skraju.

— Harry, co to? — spytała.

— Nic — odparł. — Przejdź lepiej na drugą stronę. Na nawietrzną.

— Czy Molo zmienił opatrunek?

— Tak. Mam teraz przyłożony kwas borny.

— Jak się czujesz?

— Trochę nietęgo.

— Idę się wykąpać — powiedziała. — Zaraz wracam. Zjem przy tobie, a potem wniesiemy łóżko.

Tak — rzekł do siebie — dobrze się stało, że skończyliśmy tę kłótnię. — Nigdy nie kłócił się długo z tą kobietą, gdy z innymi, które kochał, kłócił się tak bardzo, że zawsze w końcu, w korozji sprzeczek, zabijali w sobie to, co ich łączyło. Zbyt wiele kochał, zbyt wiele wymagał, i zszargał wszystko.

MYŚLAŁ o pobycie w Konstantynopolu, tym razem samotnym, bo się pokłócił przed wyjazdem z Paryża. Łajdaczył się cały czas, a potem kiedy przestał i nie udało mu się zabić samotności, a tylko ją pogorszył, napisał do niej, do tej pierwszej, tej, która go porzuciła, list mówiący o tym, że nigdy nie był zdolny zabić tego uczucia... O tym, jak to kiedyś wydało mu się, że to ją zobaczył przed „Regence", i aż zrobiło mu się słabo i że mógł wlec się po Boulevard za kobietą, która była jakoś do niej podobna, lękając się rozczarowania, lękając się stracić uczucie, jakie mu to dawało. O tym, jak każda, z którą się przesypiał, tylko ją oddalała. O tym, że to, co zrobiła, nie może być brane w rachubę, bo wie, że nie może wyleczyć się z miłości do niej. Napisał ten list w klubie, lodowato spokojny i wysłał do Nowego Jorku prosząc ją, by mu odpisała do biura w Paryżu. To wydawało się bezpieczne. A wieczorem było mu jej brak, że aż go wzbierało na mdłości, powlókł się pod Taxim, przygadał dziewczynkę i wziął ją na kolację. Poszli potem gdzieś potańczyć, tańczyła źle, zostawił ją dla jakiejś ciepłej armeńskiej flądry, która przywarła doń swym brzuchem, aż parząc. Zabrał ją brytyjskiemu artylerzyście, niższemu stopniem od niego. Artylerzysta wyprosił go na zewnątrz, i pobili się na ulicy, na bruku, po ciemku. Wyrżnął go raz i drugi w szczękę, a gdy ten nie padał, zorientował się, że będzie to trudna walka. Z kolei artylerzysta dał mu po żebrach i pod oko. Wtedy zamachnął się z lewej i uderzył; artylerzysta runął na niego, szarpnął go za płaszcz i oderwał rękaw, więc przygrzał mu jeszcze dwa razy w ucho i odpychając dołożył prawą. Kiedy artylerzysta poleciał na łeb, uciekł z dziewczyną, bo usłyszeli kroki żandarmów. Wskoczyli do taksówki i pojechali do Rimmily Hissa wzdłuż Bosforu, potem zawrócili i wyszli w chłód nocy, i poszli się przespać; i nie pomylił się, że była przejrzała, ale przyjemna; i wyszedł od niej, nim się przebudziła, bo wyglądała dość niechlujnie w pierwszym świetle poranka, i przyszedł do Pera Palace z podsiniaczonym okiem, niosąc płaszcz na ramieniu, bo brakło w nim rękawa.

Jeszcze tej samej nocy pojechał do Anatolii i pamiętał całodzienną jazdę konno wśród łanów maku, który uprawiano na opium, i dziwne uczucie, jakie to sprawiało, a wszystkie odległości do miejsc, które mieli atakować z nowo przybyłymi oficerami Konstantyna, nie znającymi tego diabelnego terenu, okazały się mylne i artyleria rąbała po oddziałach, a brytyjski obserwator płakał jak dziecko.

To był dzień, kiedy po raz pierwszy widział zabitych, ubranych w białe baletowe spódniczki i wywijane buty z pomponami. Turcy szli miarowo, ociężale, i widział uciekających żołnierzy w spódniczkach i oficerów strzelających do nich i potem też uciekających, a on z brytyjskim obserwatorem także uciekał, aż go bolało w płucach i w ustach czuł smak pleśni, i zatrzymali się za jakimiś skałami, a Turcy ociężale wciąż parli naprzód. Widział rzeczy, o których mu się nigdy nie śniło, a później jeszcze o wiele gorsze. Więc gdy powrócił do Paryża, nie był w stanie rozmawiać, ani słyszeć o tym. A w kawiarni, koło której przechodził, siedział ten amerykański poeta ze stertą parówek przed nosem i z głupim wyrazem na kartoflanej twarzy rozmawiał o dadaizmie z Rumunem, który mówił, że się nazywa Tristan Tzara, zawsze nosił monokl i miał migrenę. I — z powrotem w swych apartamentach, z żoną, którą teraz znów kocha, kiedy minęła kłótnia, kiedy minęła gorączka, zadowolony, że jest w domu — z biura przysłano mu pocztę. Tak więc odpowiedź na list, który napisał, znalazła się pewnego ranka na platerze, a kiedy poznał charakter pisma, zrobiło mu się zimno i spróbował schować go pod inny. Lecz żona zapytała: „Mój drogi, od kogo jest ten list?". I taki był początek końca.

Pamiętał dobre czasy z nimi wszystkimi i sprzeczki. Zawsze obierały najprzyjemniejsze miejsca na kłótnie. I czemu zawsze wtedy się kłóciły, kiedy on czuł się jak najlepiej? Nigdy nie opisał nic takiego, bo po pierwsze, nie chciał żadnej z nich urazić, a po drugie wydawało się, że i tak jest dość do napisania. Ale zawsze myślał, że wreszcie to kiedyś opisze. Tak dużo było do opisania. Widział, jak świat się zmienia; nie poszczególne wypadki; chociaż wiele z nich widział i obserwował ludzi, lecz dostrzegał głębszą zmianę i mógł zapamiętać, jak czują się ludzie w różnych kolejach losu. Tkwił w tym i obserwował to i obowiązkiem jego było pisać; teraz już nie napisze nigdy.

— Jak się czujesz? — Wyszła z namiotu po kąpieli.

— Dobrze.

— Mógłbyś coś zjeść? — Zobaczył za nią Mola z rozkładanym stolikiem i drugiego boya z nakryciem.

— Chcę pisać — powiedział.

— Powinieneś się napić rosołu, żeby się wzmocnić.

— Umrę dziś w nocy — odrzekł. — Nie trzeba mi wzmocnienia.

— Proszę cię, nie bądź melodramatyczny, Harry.

— Czemu nie zrobisz użytku ze swego nosa? Jestem przegniły do pasa. Po kiego licha miałbym się wygłupiać z rosołem? Molo, przynieś mi whiskey-soda.

— Napij się rosołu... — powiedziała miękko.

— Dobrze.

Rosół był za gorący. Musiał trzymać kubek, póki nie przestygnie, a później wychylił go duszkiem.

— Jesteś wspaniałą kobietą — rzekł. — Nie przejmuj się mną.

Zwróciła ku niemu tę znajomą, kochającą twarz ze „Spur" i „Town and Country", trochę tylko zniszczoną nadużyciem alkoholu, trochę tylko zniszczoną nadużyciem łóżka, a kiedy patrząc tak, ujrzał znajomy miły uśmiech znów poczuł nadchodzącą śmierć. Tym razem nie przyszło to na niego z impetem, tylko jak powiew, który załopoce płomieniem świecy, a potem wystrzeli nim w górę.

— Mogą mi później wynieść moskitierę i zawiesić na drzewie, i niech zapalą ognisko. Nie będę dzisiaj spał w namiocie. Nie warto się ruszać. Niebo jest czyste. Nie będzie padało.

Więc to tak się umiera, wśród szeptów, których nie słychać. Dobrze, nie będzie więcej kłótni. Może to obiecać. Nie zepsuje jedynej rzeczy, której dotąd jeszcze nigdy nie doświadczył. Może jednak zepsuje. Psuło się przecież wszystko. A może nie...

— Czy mogłabyś pisać pod dyktando?

— Nie próbowałam nigdy — odparła.

Nie było oczywiście na to czasu, choć wydawało się tak ukształtowane, że można by zmieścić w jednym akapicie, gdyby móc dojść z tym do ładu.

NA wzgórzu ponad jeziorem był dom wzniesiony z bierwion, wapnem pobielany. Przy drzwiach na słupie wisiał dzwon do zwoływania ludzi na posiłek. Za domem były pola, za polami las. Od domu biegł aż do przystani rząd topoli włoskich. Inne topole rosły wzdłuż cypla. Droga wiodła ku wzgórzom, skrajem lasu i przy tej drodze zbierał jagody. Ten dom z bierwion spłonął i wszystkie strzelby, które wisiały nad kominkiem na wieszadle z jelenich nóżek, spłonęły, a później ich lufy, z zalanymi ołowiem magazynkami i wypaloną obsadą, leżały na kupie popiołu używanego do robienia ługu w dużych żeliwnych kotłach do mydła, więc pytałeś dziadka, czy można je wziąć do zabawy, a on odpowiadał: „Nie". Widzisz, to były wciąż jego strzelby, nigdy nie kupił sobie innych. Nigdy też więcej nie polował. Dom odbudowano w tym samym miejscu, tym razem z ciosanego drzewa, i pomalowano na biało, a z jego werandy widać było topole i jezioro w dali; lecz strzelb już nigdy nie było. Lufy tych, które wisiały na jelenich nóżkach na ścianie starego domu, leżały na kupie popiołu i nikt ich nigdy nie ruszał.

W Black Forest, po wojnie, dzierżawiliśmy strumień obfitujący w pstrągi i można było dojść doń dwoma drogami. Jedna dołem, doliną od Triberg i drogą w cieniu drzew, które graniczyły z jej bielą, a potem w bok od niej, poprzez wzgórza obok rozlicznych małych ferm aż do strumienia. To tam zapoznaliśmy się z rybołóstwem.

Idąc drugą drogą, trzeba było się wspiąć po stromiznach do skraju lasu, a później iść wierzchołkami wzgórz wśród sosen, wreszcie zejść na łąką i w dół tą łąką do mostu. Wzdłuż strumienia rosły brzozy. Nie był to duży strumień. Wąski, czysty i szybki z zatoczkami tam, gdzie się musiał przedzierać pod korzeniami brzóz. W hotelu w Triberg właściciel miał dobry sezon. Było bardzo przyjemnie i żyliśmy przyjaźnie. W następnym roku nastąpiła inflacja i pieniądze, które zarobił uprzednio, nie wystarczyły na otwarcie hotelu, więc powiesił się.

To można podyktować, ale nie można podyktować Place Contrescarpe, gdzie sprzedawcy kwiatów farbowali je, a farba płynęła po bruku przy przystanku autobusowym; i starcow, i staruszki zawsze pijanych winem i złymi wytłokami; i dzieci z cieknącymi nosami na zimnie; zapachu brudnego potu i ubóstwa, i pijaństwa w Cafe des Amateurs; i prostytutek w Bal Musette, nad którym mieszkali. Concierge, która przyjmowała żołnierza z Garde Republicaine w swoim mieszkanku, hełm z kitą leżał na krześle. Lokatorki z drugiej strony hallu, której mąż był kolarzem; i jej radości tego ranka w Crenierie, kiedy otworzyła „L'Auto" i zobaczyła, że zdobył trzecie miejsce w Paris-Tours, w pierwszych wielkich zawodach. Czerwieniła się i śmiała, a potem poszła płacząc po schodach na górę z żółtą gazetą w ręce. Mąż kobiety, która prowadziła Bal Musette, jeździł taksówką i kiedy on, Harry, udawał się na wczesny samolot, pukał do drzwi, budził go i pili obaj po szklance białego wina przy cynkowej ladzie baru przed odjazdem. Znał swych sąsiadów wtedy w tej dzielnicy, bo wszyscy byli ubodzy.

Wokół tego Place było dwa rodzaje ludzi: pijacy i sportowcy. Pijacy w ten sposób głuszyli swe ubóstwo, sportowcy brali je z sobą na treningi. Byli potomkami Komunardów i wiedzieli, czego chcą. Wiedzieli, kto rozstrzeliwał ich ojców, ich krewnych, ich braci, ich przyjaciół, kiedy wersalskie oddziały wkroczyły i opanowały miasto po upadku Komuny i rozstrzeliwały każdego, kto miał stwardniałe ręce albo nosił czapkę, albo miał na sobie jakikolwiek inny znak przynależności do robotników. I w tym ubóstwie po przeciwnej stronie ulicy co Boucherie Chevaline i winna kooperatywa — napisał początek wszystkiego, czego miał dokonać później. Nigdy nie lubił żadnej dzielnicy Paryża bardziej niż tę, rozrośnięte drzewa, stare domy biało tynkowane, niżej pomalowane na brązowo, podłużną zieleń autobusów na tym okrągłym skwerze, purpurową farbę do kwiatów na bruku, nagły spadek ulicy Cardinal Lemoine ze wzgórza ku rzece, a z drugiej strony wąskie tłumne życie ulicy Mouffetard. Ulica, która wiodła do Pantheonu, i inna, którą zwykle przejeżdżał rowerem, jedyna asfaltowa ulica w dzielnicy, gładka pod gumami, z wysokimi wąskimi domami i tanim hotelem, gdzie umarł Paul Verlaine. Były tylko po dwie izby w apartamentach, w których mieszkali, a on zajmował pokój na najwyższym piętrze hotelu, który go kosztował sześćdziesiąt franków miesięcznie, pisał tam i mógł oglądać dachy i kominy, i wszystkie wzniesienia Paryża.

Z tego mieszkania widać było las i siedzibę węglarza. Węglarz sprzedawał też i wino, niedobre wino. I było też widać głowę złotego konia przed Boucherie Chevaline, gdzie wisiała żółtozłota i czerwona konina w otwartym oknie, i pomalowaną na zielono kooperatywę, gdzie kupowało się wino dobre i tanie. Reszta to tynkowane mury i okna sąsiadów. Kiedy w nocy leżał ktoś pijany na ulicy jęcząc i postękując w tej typowej francuskiej iversse, której uczono cię nie dawać wiary, sąsiedzi otwierali okna i słychać było szmer rozmów.

„Gdzie jest policjant? Jak nie potrzebny gliniarz, to go wszędzie pełno. Śpi z jakąś concierge. Zawołajcie a-g-e-n-ta". Wreszcie ktoś chlusnął wodą z okna i jęki ucichły. „Co to? Woda. O, bardzo inteligentnie". I okna się zamykały. Marie, jego femme de menage, protestowała przeciw ośmiogodzinnemu dniowi pracy: „Jeżeli mąż pracuje do szóstej to wracając do domu upija się tylko trochę i nie za wiele traci pieniędzy. Jeżeli pracuje do piątej, jest co wieczór pijany i człowiek nie ma forsy. To żony ludzi pracy straciły na tym zmniejszeniu godzin".

— Może chcesz jeszcze rosołu? — spytała go.

— Jest bardzo dobry, ale nie, dziękuję. Napiłbym się whiskey-soda.

— Nie zrobi ci to dobrze.

— Nie. Szkodzi mi. Cole Porter napisał słowa i melodię. O tym, że za mną szalejesz:

„Wiesz, że lubię, gdy pijesz
O, tak. Tylko mi szkodzi".

Jak sobie pójdzie — pomyślał — będę miał, co zechcę. Nie wszystko, co chcę, tylko wszystko, co jest. Był zmęczony. Bardzo zmęczony. Prześpi się trochę. Leżał spokojnie, a smierć nie nadchodziła. Musiała pójść nie tą ulicą, okrężną drogą. Ona chodzi parami, na rowerach i porusza się absolutnie bezdźwięcznie po chodnikach.

NIE, nigdy nie napisał o Paryżu. To nie o Paryż mu chodzi. Ale co z resztą, której nie opisał nigdy?

Co z ranczą i posrebrzaną siwizną sędziwych krzewów, bystrą czystą wodą z rowów nawadniających i ciężką zielenią alfalfy. Trop wiódł ku wzgórzom i bydło w lecie było płochliwe jak łanie. Pokrzykiwania i bezustanny hałas i wolno poruszająca się masa wzbijająca pył, kiedy się wiodło je ze stoku. A dalej góry, czysto zarysowany szczyt w wieczornym świetle i gdy zjeżdżało się w dół wzdłuż lasu przy księżycu — jaśniejący ponad doliną. Teraz przypomniał sobie, jak szedł nocą do domu przez las trzymając się końskiego ogona, gdy nic nie było widać, i wszystkie historyjki, które zamierzał opisać.

O niedorozwiniętym chłopcu na posługi, którego wówczas zostawiono na ranczy i przykazano, by nie pozwalał nikomu brać siana, a ten stary drań z Forks, który bił chłopca, gdy ten u niego pracował, zaszedł po trochę paszy. Chłopiec odmówił i stary zagroził mu, że go zbije. Chłopiec wziął karabin z kuchni i zastrzelił go, kiedy próbował wejść do stodoły, i gdy wrócili na ranczę, zabity leżał już tydzień, zamarznięty w zagrodzie, zżarty przez psy. A szczątki owinięte w koc wsadzono na sanki i przywiązawszy kazano chłopcu pomóc ciągnąć; wywieźli we dwójkę sanie na drogę na nartach, i dalej sześćdziesiąt mil do miasta, żeby oddać chłopca policji. A on ani się domyślał, że będzie aresztowany. Sądził, że spełnił obowiązek wobec przyjaciół i spodziewał się nagrody. Pomógł ciągnąć sanie, żeby wszyscy mogli zobaczyć, jaki był niedobry ten stary, jak to próbował ukraść paszę, która nie należała do niego, więc kiedy szeryf nałożył mu kajdanki, chłopiec własnym oczom nie wierzył. Później zaczął płakać. To jedna opowieść, której pisanie odkładał. Znał co najmniej dwadzieścia dobrych opowieści z tych stron, a nigdy nie napisał ani jednej. Czemu?

— Ty im powiesz czemu.

— Czemu co, kochanie?

— Nic, nic.

Teraz, kiedy miała jego, nie piła tak dużo. Ale gdyby przeżył, wiedział, że nie napisałby o niej nigdy. Ani o żadnej z nich. Bogacze są nudni i za wiele piją lub za wiele grają w loto. Są nudni i powtarzalni. Wspomniał biednego Juliana i jego romantyczny strach przed nimi i jak zaczął kiedyś opowiadać: „Bardzo bogaci są inni niż my". A ktoś wtrącił: „Tak, mają więcej pieniędzy". Lecz to się nie wydało śmieszne Julianowi. Uważał ich za szczególnie uroczą rasę ludzi, a kiedy się przekonał, że tak nie jest, załamał się.

Gardził tymi, którzy się załamywali. Niekoniecznie trzeba zaraz lubić coś dlatego, że się je rozumie. On, potrafiłby zmóc wszystko, myślał, nic nie było w stanie go zranić, jeśli się nie przejmował.

Dobra. Teraz nie będzie się przejmował śmiercią Jedno, przed czym się zawsze trwożył. to ból. Znosił ból jak każdy inny, jeśli nie trwał za długo i nie wyczerpywał go, lecz oto teraz bolało go przeraźliwie i właśnie kiedy czuł, że nie wytrzyma, ból ustał.

PAMIĘTAŁ, jak dawno temu Williamson, oficer artylerii, został trafiony granatem, który rzucił ktoś z niemieckiego patrolu, kiedy przechodził przez zasieki w nocy — i wyjąc błagał wszystkich, żeby go dobili. Był tęgim mężczyzną, bardzo dzielnym, dobrym oficerem, ale tej nocy dołożyli mu w zasiekach i leżał w oświecających go odblaskach z wybebeszonymi wnętrznościami, zaplątany w druty, więc kiedy go zabierano, trzeba było go odciąć. „Zastrzel mnie, Harry. Na miłość boską zastrzel mnie". Było kiedyś takie twierdzenie, że Pan Bóg nigdy nie zsyła na ludzi czegoś, czego nie można znieść; i czyjaś teoria, że w odpowiednim momencie ból mija automatycznie. Lecz zawsze stał mu przed oczyma Williamson tej nocy. Williamsonowi wcale nie ulżyło, aż dał mu wszystkie tabletki morfiny, które trzymał zawsze dla siebie, ale i one niewiele pomogły.

NIE było jeszcze takie złe to, co go spotkało, i jeśli się nie pogorszy w dalszym ciągu, nie ma co się martwić. Wyjąwszy, że wolałby być w innym towarzystwie.

Myślał przez chwilę o towarzystwie, w jakim pragnąłby się znaleźć.

Nie, myślał, jeśli wszystko robi się za długo i za późno, nie można się spodziewać, że znajdzie wokół siebie tych ludzi: Oni już odeszli. Przyjęcie się skończyło i zostałeś sam z gospodynią.

Nudzi mnie ta śmierć jak wszystko inne.

— Nudne — powiedział głośno.

— Co, mój drogi?

— Wszystko, co robi się piekielnie długo.

Popatrzył na nią pomiędzy nim a ogniskiem. Siedziała oparta na krześle i blask ognia padał na jej miło rysującą się twarz i dostrzegł, że była śpiąca. Usłyszał, jak hiena hałasuje poza zasięgiem światła.

— Pisałem — rzekł. — Ale się zmęczyłem.

— Czy sądzisz, że mógłbyś zasnąć?

— Natychmiast. Czemu się nie kładziesz?

— Lubię tu siedzieć z tobą.

— Czy czujesz się trochę nijako?

— Nie. Po prostu jestem śpiąca.

— Bo ja, tak — powiedział.

Poczuł znów przechodzącą obok śmierć.

— Wiesz, jedyna rzecz, której nigdy nie zatraciłem, to ciekawość — powiedział jej.

— Nic nigdy nie zatraciłeś. Jesteś najpełniejszym z tych ludzi, których znałam.

— Chryste — odparł. — Jak mało kobiety wiedzą. Cóż to takiego? Twoja intuicja?

Bo właśnie wtedy podeszła śmierć, złożyła głowę w nogach jego łóżka i poczuł zapach jej oddechu.

— Nie wierz w żadne kosy i szkielety. Ona może być równie dobrze w postaci dwóch policjantów na rowerach albo ptaka. Albo też może mieć szeroki pysk jak hiena.

Przysunęła się teraz do niego, lecz już nie miała żadnego kształtu. Po prostu zajmowała miejsce.

— Każ jej iść precz.

Nie odeszła, lecz przysunęła się trochę bliżej.

— Masz oddech z piekła rodem — powiedział.

Przysunęła się jeszcze bliżej i teraz już nie mógł do niej mówić, a kiedy ona zobaczyła, że nie może mówić, zbliżyła się jeszcze bardziej. Teraz próbował zrzucić ją nic nie mówiąc, ale wcisnęła się na niego, aż zaciążyła mu na piersiach, i gdy się rozpłaszczyła, a on nie mógł ani się ruszyć, ani przemówić, usłyszał głos kobiety: „Bwana już śpi. Weźcie ostrożnie łóżko i wnieście do namiotu".

Nie mógł powiedzieć, by ją odegnała, a ta zaciążyła mu jeszcze bardziej, że nie mógł oddychać. A kiedy podniesiono łóżko, nagle poczuł się dobrze i ciężar zsunął się z piersi.

BYŁ ranek i to już nie wczesny, kiedy usłyszał samolot. Najpierw był bardzo mały, a potem zatoczył szeroki krąg i Murzyni wybiegli i rozpalili ogniska przy pomocy benzyny i pokładli trawę na wierzchu, aż powstały dwa duże słupy dymu na obu krańcach równego miejsca, a poranny podmuch przywiał je do obozu. Samolot zrobił jeszcze dwa okrążenia, tym razem nisko, a potem ześliznął się w dół, wyrównał, wylądował i oto spacerowym krokiem szedł ku niemu stary Compton w tweedowej marynarce i brązowym, pilśniowym kapeluszu.

— Co się stało, stary łobuzie?

— Noga — odparł. — Zjesz śniadanie?

— Dziękuję. Napiję się tylko herbaty. To „Ćma". Nie będę mógł zabrać Memsahib. Jest tylko jedno miejsce. Wasz samochód jest w drodze.

Helena wzięła Comptona na stronę i porozmawiała z nim. Compton powrócił raźniej niż kiedykolwiek.

— Wsadzimy cię od razu do samolotu — powiedział. — Wrócę tu po Memsahib. Teraz, obawiam się, będziemy musieli zatrzymać się w Arushy, żeby wziąć benzynę. Ruszajmy.

— A co z herbatą?

— Wiesz... nie bardzo mi się chce.

Murzyni ujęli łóżko i przenieśli je obok zielonych namiotów i w dół, wzdłuż skały na równinę obok ognisk, które płonęły teraz jasno, bo trawa się spaliła i wiatr rozdmuchał ogień, i do samolociku. Trudno go było tam umieścić, ale gdy się to stało, leżał w skórzanym fotelu z nogą wyciągniętą na brzeg siedzenia Comptona. Compton rozruszał motor i wszedł do środka. Pomachał do Heleny i do Murzynów i kiedy klekot przeszedł w znajomy warkot, ruszyli. Compton wypatrywał miejsc porytych przez dziki. Pomknęli podskakując po przestrzeni wyznaczonej ogniskami, a po ostatnim podskoku wznieśli się i zobaczył wszystkich ich stojących w dole, machających ku nim i obóz obok wzgórza teraz spłaszczony. i rozciągającą się równinę, kępk! drzew, i bush, który zrobił się płaski, a ślady zwierzęce biegły nieprzerwanie do wyschłych bajorek i była w nich teraz woda, o czym przedtem nie wiedział. Zebry, teraz tylko małe krągłe grzbiety, i antylopy gnu, wielkogłowe plamki, które poruszając się w długich szeregach poprzez dolinę jakby się unosiły, rozproszyły się, kiedy cień przeszedł przez nie, a teraz zmalały i ruch ich nie robił wrażenia galopu. I wszędzie tylko równina, jak okiem sięgnąć szaro-żółta, a z przodu tweedowe piecy starego Compie i brązowy pilśniowy kapelusz. Potem minęli pierwsze wzgórza, na które wspinały się antylopy, i wylecieli nad góry z nagłymi głębiami zieleniejącego lasu, z solidnymi bambusowymi pochyłościami, później znów gęstwa lasu wyrzeźbionego we wzgórza i doliny, póki nie przelecieli na drugą stronę i góry opadły znowu w inną równinę gorącą teraz i purpurowo-brązową, musującą upałem, a Compie obejrzał się, czy mu się dobrze wiedzie. Później inne góry zaczerniały na horyzoncie.

A wtedy zamiast lecieć dalej do Arushy skręcili na lewo. Widocznie Compie pomyślał, że mają dość benzyny. Spoglądając w dół, zobaczył różowy obłoczek płynący ponad ziemią jak świeży śnieg w zadymce, która pochodzi znikąd; lecz wiedział, że to szarańcza leci z południa. Później zaczęli nabierać wysokości i wydawało się, że lecieli na wschód, a potem pociemniało i wpadli w burzę Deszcz był tak gęsty, że lecieli niby przez wodospad, a potem minęli ją i Compie odwrócił głowę, i wskazał kierunek; a tam przed nimi ujrzał, jak świat odległy, wielki, wysoki nie do wiary, biały w słońcu, kwadratowy szczyt Kilimandżaro. A wtedy poznał, że to tam podążał.

WŁAŚNIE wtedy hiena przestała skomleć w ciemności i wydała z siebie dziwny, ludzki prawie, płaczący dźwięk. Kobieta usłyszała to i poruszyła się niespokojnie. Nie obudziła się. Znalazła się we śnie w domu na Long Island, a był to wieczór poprzedzający debiut jej córki. Jakoś i ojciec był tam obecny i zachowywał się brutalnie. Później hiena wrzasnęła tak głośno, że się ocknęła i przez chwilę nie wiedziała, gdzie jest, i bała się.

Wzięła latarkę i oświeciła drugie łóżko — to, które wnieśli, kiedy Harry zasnął. Widziała zarys jego postaci pod moskitierą, ale wyciągnął w jakiś sposób nogę, zwisała teraz z łóżka. Opatrunek zsunął się i nie mogła na nią patrzeć.

Molo — zawołała. — Molo! Molo!

Później powiedziała: Harry, Harry kochany! — głos jej wzrósł: — Harry, o Harry!

Nie było odpowiedzi i nie doszedł do niej szmer jego oddechu.

Na zewnątrz namiotu hiena wydała ten sam dziwny dźwięk, który ją obudził. Lecz nie słyszała tego, tak jej serce biło.

MIKOŁAJ BIESZCZADOWSKI

CZĘŚĆ I

Wizyta w mieście smoka

Kraków, w listopadzie

KIEDY cudzoziemski podróżny przyjeżdża do miasta, zostawia w swoim hotelu plecak, wyciąga z kieszeni Baedeckera i żwawym krokiem wyrusza na ulice w poszukiwaniu niespodzianek. Stąpa sprężyście, jak na turystę przystało, pewien, że nie spotka cieniów przeszłości, pewien, że go nie dopadną wspomnienia dobrych czy trudnych chwil, które mu w tym mieście dane było przeżyć.

Patrzy, sądzi i ocenia to z życzliwą, to znowu z krytyczną uwagą, nie zamąconą jednak żadnym ubocznym refleksem, żadnym obrazem spraw minionych. Wszystko tu dla niego jest po raz pierwszy nie tknięte jeszcze pamięcią — świat, który się właśnie narodził.

Nastawia więc obiektyw aparatu fotograficznego, żeby uchwycić fragmenty pięknej architektury. Później pokaże to zdjęcie swojej czeskiej czy niemieckiej żonie. Oboje będą kiwać głowami z uznaniem, że w Polsce tyle jeszcze ocalało z ognia wojen, i że budowle podobne są do kościołów Magdeburga i Pragi.

Ale czy fotografia uchwyci na przykład gorycz? Gorycz pierwszych młodych rozczarowań, jaka przywarła już na zawsze do tamtego zaułka, czy potrafi ocalić zachwyt, który kiedyś późnym popołudniem spadł na oczy razem z ogniem tego witraża, z szumem tamtej skrzydlatej rzeźby? Czy utrwali wielkie zdziwienie prostym faktem, że czas inaczej, ale to całkiem inaczej toczy się za oknami tych domów, inaczej pluszcze w rzece, pod przęsłami brzydkich mostów, że jedyny i niepowtarzalny jest uśmiech tutaj kwitnących drzew?

Nie jestem obcym turystą. Wiele lat, jak na moje życie, żyłem w tym mieście, czy może lepiej — ono żyło we mnie. Więc inaczej mu się przyglądam, kiedy mi się zdarzy je zobaczyć. Przez obraz chwili obecnej widzę inne, jak na filmie, kiedy reżyser umie posługiwać się językiem ekranu. Już wiem, że miasto to o wiele więcej niż architektura, niż zieleń parków, klimat i topografia, więcej nawet niż momenty ekonomiczne i aspekty socjalne, że nie tylko na mapie — ono się rozciąga na przecięciu wspomnień i chwili bieżącej, zawieszone między historią a przyszłością. Jego teren faluje poza murami rozciągniętymi wśród ludzi, którzy wypełniają je swoim istnieniem.

Dlatego darujcie mi, jeśli nie pokażę wam miasta ani przez siatkę statystycznych wykresów, ani z lotu ptaka, ani w mgnieniu oka. Pozwólcie mi po prostu wybrać się z wami razem na wizytę. Nie w gąszcz wspomnień ani w krąg impresji — tylko właśnie do wnętrz, tam gdzie miasto jest najbardziej może sobą. Znam drogę, a wierzcie mi — nie jest taka prosta.

*

W MIESZKANIU profesora panuje niepodzielnie zapach woskowanych podłóg, starych książek i jakby kadzidła. Może to jest po prostu zapach dymu, który unosi się z fajek niektórych gości?

Blada panienka, z bladozłotym węzłem włosów na karku, w pastelowym swetrze nalewa do cienkich filiżanek herbatę.

Na miękkich meblach w niemodnym stylu chippendale siedzą starsi panowie. Niektórzy mają szpakowate lub już całkiem siwe brody i żywo przypominają portrety Karola Marksa.

Na ścianach mnóstwo obrazów: Malczewski, Boznańska, szkice Wyspiańskiego. Chyba nigdzie już w Polsce, poza tym jednym miastem, nie ma takich mieszkań, gdzie z równym pietyzmem zakonserwowano fragmenty zeszłego stulecia. I chyba już nigdzie tak się nie rozmawia, jak tutaj. Bo oczywiście tematy są dostojne, porusza się sprawy ducha, jest mowa o literaturze i filozofii. Swobodnie gawędzi się o pięknościach stylu wieszcza Malherbe, o tym, że współcześni poeci tak rzadko nawiązują do jego metaforyki. — Nie tak dawno temu — mówi profesor targając krótką brodę — nie tak znowu dawno. bo w jakimś 910, słyszałem w Paryżu jak wiersze Malherbe'a recytowała Sarah Bernhardt. Panowie, jak recytowała! Choć podobno i nasza Modrzejewska umiała w recytację włożyć wiele ognia.

Rozmowa schodzi na teatr, na „Autos Sacramentales" Calderona, których dzisiaj nie wiadomo czemu nikt nie gra, a których wpływ na wczesny barok sceny polskiej jest niezaprzeczony. Taki profesor Wędkiewicz, wielki znawca przedmiotu, nieraz zachęcał do studiów nad ową zaniedbaną gałęzią wiedzy. Więc wszyscy wspominają „Przegląd Współczesny", pismo, które profesor umiał postawić na europejskim poziomie, wszyscy kiwają głowami z żalem, że tego pisma już nie ma. Nazwisko znakomitego uczonego budzi z kolei wspomnienia o Akademii Umiejętności, która przeniosła się teraz do Warszawy i zmieniła nazwę na Akademię Nauk.

I oto zjawia się ulubiony przez krakowian temat: Warszawa. Mówią o niej z pewną wyniosłością, jak o kimś znacznie młodszym, z pewnym zażenowaniem, jak o kimś, fatalnie wychowanym, a także z odrobiną ukrywanej zazdrości, jak o kimś, kto się dorobił i teraz błyszczy dostatkami. Pochyleni nad cienką porcelaną filiżanek, rozsiadli w fotelach w staroświeckim stylu chippendale, za mgłą tytoniowego dymu, pogrążeni w rozmowie, której wdzięku już nikt poza nimi nie wysmakuje, są jakby namalowani przez Edwarda Maneta. Może są trochę komiczni z tymi ich manierami, z tym luksusem wzniosłych i na nic nieprzydatnych tematów, z tym kontynuowaniem minionych już przecież form, które sobą wciąż wskrzeszają — ale przyznacie, że z tym wszystkim bardzo im do twarzy, że są tak rozbrajająco krakowscy.

Na moment ogarnia mnie zaduma omal filozoficzna. — Ach, Kraków, myślę, niepoprawny Kraków, o którym ktoś dowcipnie powiedział, że powinien być otwierany tylko w niedzielę.

Panienka o popielatych włosach podaje mi książkę oprawną w czarną skórę. To Schopenhauer, mówi bezbarwnym jak jej włosy głosem. Czytuje pan Schopenhauera? Ojciec przywiózł ten egzemplarz jeszcze z Wiednia, z dedykacją Vosslera — o, widzi pan, jaka wzruszająca? I czytam napisane ręką wielkiego Europejczyka słowa: Für meinen Freund.

Już czas do domu. Godzina dziewiąta jest późną godziną w Krakowie. W przedpokoju żegnają się stosując cały arsenał fin-de-siecle'owych szykan. Cytują po łacinie elegików rzymskich i mówią „całuję rączki pani profesorowej" — utyskują na młodzież, że nie zna „Autos Sacramentales", i że stroni od Malherbe'a — żałują tej młodzieży, która nie przeżyła premiery „Wesela" i nigdy już nie usłyszy, jak recytuje poezję Sarah Bernhardt. Zapraszają się na swoje następne jour-fixe'y i na ulicy jeszcze długo kłaniają się sobie swoimi czarnymi kapeluszami. Wiatr od Wisły rozwiewa im resztki siwych włosów, kradnie słowa — jakoś szorstko obchodzi się ten wiatr z koryfeuszami nauki. Ulice Krakowa wcześnie pustoszeją — snuje się tylko cień skrzydlatego smoka, niepokonany cień przeszłości.

*

JESIENNY wiatr przegania stadko gołębi z jednego kąta rynku w drugi. Trzepotliwe ptaszyska przysiadają wreszcie na kalenicach kościoła Mariackiego i z niepokojem wypatrują, co się też dziwnego odbywa na rynku.

Bo istotnie wyrosła tutaj, u wylotu ulicy Siennej, jakby rotunda z desek. Wewnątrz toczą się prace nad odbudową pomnika Mickiewicza. Jakoś nikt specjalnie tym faktem nie zaprząta sobie głowy, poza gołębiami, które zerkają z wież kościoła, i poza dziećmi, które zaglądają przez szpary w ogrodzeniu. Krakowianie chodzą spokojnie po rozległym rynku jak po salonie swego mieszkania. Wiedzą, że tak powinno być, że tak jest po prostu zwyczajnie. Prędzej czy później pan Adam musiał powrócić na dawne miejsce, jego chwilowa nieobecność, jeśli spojrzeć z perspektyw historii, prawie się nie liczy. Tylko że przedtem stoczono ostrą batalię, czy mianowicie pomnik ma wrócić na dawne miejsce i w niezmienionej postaci, czy raczej ma zjawić się w nowej szacie i w innym punkcie miasta. Zwyciężyli tradycjonaliści i oto pan Adam z powrotem wciela się w swój zniszczony przez hitlerowskich nosicieli kultury pomnik — wciela się, czy raczej „wbrązowia". Pamiętam go z czasów dzieciństwa, pamiętam nawet, jaki był wtedy brzydki. Przypominał kałamarz stojący zawsze na biurku ojca. Otoczony wieńcem postaci alegorycznych na niezgrabnym cokole, będzie psuł perspektywę stylowego rynku, będzie stanowił obiekt dla nieobyczajnych czynów nad miarę już rozzuchwalonych gołębi. I na pewno wzbudzi smutne refleksje w niejednym z cudzoziemskich turystów, który patrząc na tę nieładną i tak nieporęcznie postawioną statuę zapyta siebie, dlaczego to Polacy dla swego największego poety nie potrafili wybrać form bardziej monumentalnych i szlachetnych, i dlaczego nie wyszukali mu miejsca bardziej sensownego. z lepszym poczuciem tła i przestrzeni.

Krakowscy jednak ludzie wcale się nie dziwią. Wiedzą. że bez pomnika Mickiewicza rynek to nie rynek. Kraków straciłby jeden ze swych akcentów, bez których jest tak nie do pomyślenia, jak gdyby mu zabrano np. kurtynę Siemiradzkiego.

Tego wszystkiego przybysz z innego miasta nie zrozumie, choćby mu nie wiem jak tłumaczyć. Chyba, żeby tu dłużej pomieszkał.

*

W REDAKCJI katolickiego pisma rozmawiałem z młodą, niedawno tu przybyłą dziennikarką:

— Moje ogólne impresje na temat ludzi? Po raz pierwszy zamieszkałam w Krakowie na dłużej. Przedtem, oczywiście, znałam to miasto, ale dorywczo, ot tak, jak turysta, miłośnik starej architektury i sztuki. Czy pan wie, że Kraków jest miastem, być może, najjaskrawszych kontrastów społecznych? Mieszkam w hotelu, niedaleko dworca, mam okazję, niezbyt godną pozazdroszczenia, obserwować fragmenty tzw. nocnego życia. Wiele widziałam, ale takiego zupełnie już jawnego — powiedzmy delikatnie — handlu erotycznego nigdzie w Polsce nie zdarzyło mi się spotkać.

I tak oto dotykamy jednej z bolączek krakowskich, wstydliwej i nienadobnej, ale natrętnej, przybierającej rozmiary coraz bardziej niepokojące. Elita inteligencji z jednej strony, wódka i półjawny nierząd z drugiej — jadowity paradoks.

Jest coś zgniłego w mieście smoka — trawestuję słowa poety idąc rynkiem, po którym wiatr przegania gromady niewinnie białych gołębi. Potrącam ludzi wędrujących mozolnie i monotonnie po sobie wiadomych torach, z nosami na kwintę i z minami wyrażającymi dobitnie, że już im nic nie dziwne. Naprzeciw, w szerokim rozkołysaniu, z zawadiacką dezynwolturą toczy się raczej, niż idzie gromada wyrostków. Zalani w „ponurą dechę" rzężą jakąś pieśń spirytusową. W ich złamanych, jakby przydeptanych głosach, słychać upiorny rechot smoka. I nie wyskoczyli z rysunku karykaturzysty, nie są bynajmniej ilustracją do satyrycznego felietonu z gazety krakowskiej. Są rzeczywistością, naprawdę idą i śpiewają w biały dzień o dwa kroki od redakcji katolickiego pisma, cztery od nasiąkłych tradycjami murów almae matris, jeden krok od wspaniałego Wojewódzkiego Domu Kultury.

Wojewódzki Dom Kultury jest chlubą Krakowa. Mieści się w jednym z dawnych pałaców magnackich i do dziś zachował coś z wielkopańskiej niefrasobliwości. W jego przepysznych komnatach i złoconych salach, na obszernych schodach i korytarzach od rana gwar, przez ściany o każdej porze słychać stłumioną muzykę i śpiew. Jest oczywiście i kino. Bardzo tanie, tak bardzo, że dostępne jest nawet dla tych, których zarobki są więcej niż skromne. Właśnie na korytarzu pierwszego piętra zebrała się spora gromadka amatorów włoskiego filmu o „Najpiękniejszej". Tłum jest — socjalnie patrząc — nader ciekawy. Przyszli tu na ogół niespotykani już teraz w poczekalniach kin i teatrów ludzie: paniusie w kapeluszach ze sztucznymi kwiatami, w wąziutkich i prześmiesznych boa na szyjach, pewnie czyjeś ciotki i babki, oderwały się na chwilę od czadu kuchen, od stosów krzyczących o cerowanie skarpet, żeby przez dwie godziny pobyć w lepszym, szlachetniejszym, bo opromienionym sztuką świecie „Najpiękniejszej". Oczywiście są i starsi panowie w paletkach, okręceni szalikami — Kraków przecież jest miastem emerytów — i oni, przywabieni niską ceną biletów, też by chcieli w towarzystwie „Najpiękniejszej" zapomnieć o szarzyźnie ich bytowania. Są odwieczne i wiecznie zastrachane stare panny, takie, co to chodzą z cudzymi dziećmi na spacery i zamożnym ludziom doglądają gospodarstwa, są nawet jakieś hrabiny, zjawisko w Krakowie dość pospolite. Można je po tym poznać, że swoje zniszczone kurtki przepasują energicznie szerokimi pasami i że im zawsze opadają pończochy. I one, zmęczone wystawaniem w ogonkach za masłem i wyrzekaniem na ciężkie czasy, ośmieliły się tu zajrzeć, żeby choć na czas trwania filmu nie myśleć o chorobach, o ciasnotach mieszkaniowych, o smutkach jałowego życia, żeby ucieszyć się światłem, jakiego im użyczy „Najpiękniejsza". Tak więc wszyscy stoją społecznie i przestępując z nogi na nogę czekają cierpliwie, zawczasu już uśmiechając się do bliskich wrażeń i emocji. Ale czekanie dziwnie się przedłuża. Film miał się zacząć o 7-ej, a tu już 8 dobiega. W sali kinowej odbywa się właśnie odprawa instruktorów ćwiczeń cielesnych, a każdy zgodzić się musi, że ćwiczenia cielesne i rozwój tychże są nieporównanie, ale to nieporównanie ważniejsze od nie wiem jakiej „Najpiękniejszej". Więc czekają, czytają, robią na drutach swetry.

Lecz oto przebiega korytarzem zuch młodzieniec. Roztrąca tłumek ze sportowym rozmachem i przez okno wygląda sobie na rynek krakowski. Jakiś pan, z tych, co to pamiętają lepsze czasy, bierze na odwagę i chrząkając kilkakroć zapytuje najuprzejmiej, czy nie można by interweniować u kierownika kina, że zbyt wielka retardacja, że trudno tak stać tutaj i na przeciągu i wszyscy potrącają...

Młodzieńca aż zatkało, ale na krótko, bo zaraz parsknął zdrowym śmiechem — nie odpowiedział, bo po co? Zbyt śmieszne i zbyt małe, zbyt niepoważne i zbyt drobne, żeby godne było odpowiedzi, odszedł więc pogwizdując krakowiaka.

Ale oto kurs dla gimnastyków wreszcie zakończony, można wchodzić do wytwornej sali kinowej, szukać miejsc, rozsiadać się w fotelach. Szkoda, że nie możecie ich widzieć w tej chwili, jak się delektują, jak błogo rozglądają i te powitania, ten wersal — a, witam dobrodzikę, może tu na prawo będzie wygodniej — sługa drogiego radcy, jak tam wątroba, bardzo ostatnio dolega? — Że też kochanego pana tak rzadko się teraz spotyka — comment allez-vous, ma chère, jak zdrowie papy? — I tak gaworząc, tak się krygując i układając, pomagają sobie wzajem zdejmować szaliki, częstują się taniutkimi cukierkami i czekają już teraz pełni otuchy, że za chwilę przeżyją baśń filmową — sen o „Najpiękniejszej".

Lecz cóż to — cóż to się wyrabia? Słychać charkotliwą muzykę, przez ekran biegną błyski i blaski, coś tam majaczy, coś tam się mgli. Ale światła nikt nie zgasił. Światło pała w najlepsze, więc szmer protestu, jakieś wątłe głosy: światło, prosimy zgasić światło! Lecz któż by tam głosami owymi się przejmował! Starcze głosy nie idą w niebiosy wysokiego kierownictwa Domu Kultury.

Minęły kwadranse, nim ktoś gdzieś się zbudził i wreszcie zapanowały kinowe ciemności. Lecz cóż to znowu? Na ekranie dziwne jakieś zjawiska; górna część obrazu zjechała na dół, dolna wskoczyła na górę, środkiem krecha rozdziela pomieszane części.

A teraz z kolei głos gdzieś uciekł, pewnie tam, gdzie pieprz rośnie, bo tknięta nagłą niemotą wielka aktorka na próżno rozdziawia usta — nic nie słychać.

Nagle pstryk — i ekran zieje bladością. Po prostu film się urwał. Wielkie rzeczy! — Co innego, gdyby dla dziennikarzy, dla sportowców, albo dla SPATIF-u, ale tak... Na widowni już nie słychać szmerów protestu — wszyscy siedzą milcząc, z tym żałosnym milczeniem zrozumienia. Zrozumieli, że niczego lepszego nie mają prawa oczekiwać, że się nie liczą, że są zwykłym, starym, na nic nie przydatnym remanentem ludzkim, że nie zasłużyli na oglądanie „Najpiękniejszej" — bo w ogóle nie wiadomo, po co jeszcze żyją i łażą po tym świecie przeznaczonym dla młodych i zdrowych, dla przydatnych.

Ale uwaga! Ktoś mało zorientowany mógłby na podstawie tej scenki wyciągnąć wniosek o tym, że źle się dzieje w krakowskim Wojewódzkim Domu Kultury.

Wniosek z gruntu fałszywy i krzywdzący.

Wszyscy w Krakowie wiedzą, że ich Dom Kultury był i jest jedną z najlepiej zorganizowanych placówek tego rodzaju w Polsce, że jego intensywne promieniowanie ogarnia coraz większe obszary prowincji, że zdobywa dla siebie coraz większy krąg odbiorców nawet tych do niedawna niechętnych i trudnych.

A ci z nas, którzy mają okazję porównywać i zestawiać ze sobą obserwacje z różnych terenów lepiej od samych krakowian wiedzą jak wielkie są wyniki, jak imponujące osiągnięcia ich Domu Kultury.

Więc jeśli jeszcze kiedy zechcecie przyjść tutaj ze mną pokażę wam pracę takiej choćby sekcji młodzieżowej, jakże inteligentnie zorganizowanej, jak mądrze pomyślanej, pokażę wam co się dzieje na odcinku dziecięcym, a doprawdy warto zobaczyć. Pokażę wam też publiczność, tę coraz żywiej reagującą, tak bardzo wdzięczną i chłonną publiczność Krakowa.

Ale czy dlatego właśnie owa scenka z „Najpiękniejszą" nie razi jak zgrzyt? — choćby przez kontrast. I, jak sądzicie, czy jest słuszne i o niej przypomnieć?

*

Przede mną, w połysku wysokich lamp, pod opieką potężnych jesionów bieleje posąg hutnika. Zgrzytają tramwaje świecąc złotymi oknami. Na horyzoncie wstaje łuna. Tam świeci miasto, które jest całe jedną wielką sprawą, miasto — problem — Nowa Huta.

Pełna inicjatywy publicystka „Tygodnika Powszechnego", Anna Morawska, chętnie godzi się na rolę Wergilego, który wiódł ducha poety w zaświatowe kręgi i razem ze mną wybiera się na krótką wycieczkę do Nowej Huty.

Czy pan wie, że początki teatru w Nowej Hucie są naprawdę romantyczne? Niech pan tylko posłucha: przed rokiem mniej więcej widziałam tutaj taką scenkę: nieopodal „Nurtu" — to znaczy jedynego wówczas nowohuckiego teatru zebrał się wielki tłum. Ponieważ to była sobota. więc wszyscy wyelegantowani i w wesołych nastrojach. Widać było, że ludzie są wzburzeni, bo skandowali ile pary w piersiach: „My chcemy biletów — my chcemy biletów", a potem na komendę samozwańczego prowodyra: raz, dwa, trzy! — tłum uderzał z rozmachem w ścianę teatru, ile ducha w kościach, bez szczędzenia sił.

— Cóż to za naród ci Polacy! — przerywa sobie z niekłamanym zachwytem, ale i odrobiną grozy Anna Morawska. Właśnie przechodził kierownik teatru — ciągnie dalej dziennikarka. Więc go pytam — co to będzie, bo przecież gotowi zdewastować teatr. Ale kierownik uśmierzył moją rozterkę.

— Nic nie będzie, proszę się nie denerwować. Najwyżej wyleci jedna ściana. Po spektaklu znów się ją wmontuje. Ta ściana nawet umyślnie jest słabo umocowana, żeby nie stawiała zbyt wielkiego oporu, mamy w tym doświadczenie — bo ten obrazek, który podziwiacie powtarza się omal co soboty. Zresztą, nie o ścianę chodzi, ani o cały drewniany budynek, tylko o to, że jednak szturmują teatr, że mimo wszystko ten teatr zdobywają. Sami — bez niczyjej zachęty. Przyznacie, że to nie jest takie zwykłe.

Tak tutaj wyglądało niegdyś. Bo teraz Nowa Huta ma już piękny i nowoczesny teatr. Po drewnianym „Nurcie" nie zostało ani śladu, a młoda kierowniczka najmłodszego teatru w kraju Krystyna Skuszanka, pracuje z entuzjazmem nad inscenizacją „Krakowiaków i Górali", których premierę zapowiada już na listopad.

Trzeba się będzie koniecznie wybrać tutaj w zimie i zobaczyć jak to autentyczni krakowiacy grają samych siebie w teatrze, który wyrósł na gruncie autentycznej krakowskiej wsi.

Chciałbym jeszcze dłużej rozmawiać z Anną Morawską o pasjonujących sprawach teatru, lecz... Któż to, któż to biegnie na przełaj, któż to pomachuje ku mnie rączką jak u mastodonta, któż uśmiecha się rozlegle od klipsa do klipsa — wszakże to dobra znajoma moja, Czesia, ta sama, co niedawno tak hucznie za mąż się wydawała w naszym domu. Jak się łatwo domyśleć, pracuje teraz w Nowej Hucie i oto cwałuje ku mnie oczarowana spotkaniem i spragniona wywnętrzeń o wszystkim, co się jej w życiu ostatnio wydarzyło.

Zostawiam więc Annę Morawską i samotrzeć, bo jak się okazuje biegnie za Czesią w podskokach jeszcze jakiś ledwo od ziemi odrosły dzieciak, udajemy się na przechadzkę.

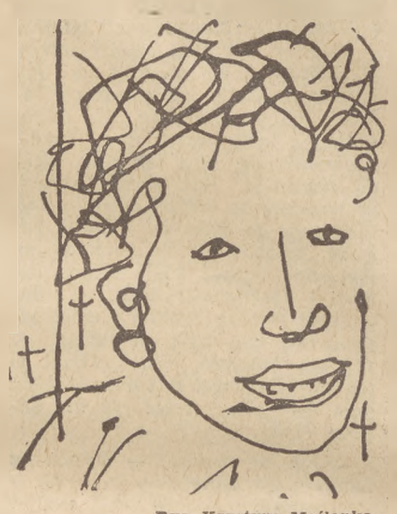

Rys. Krystyna Maślanka

Tak, Czesia jest szczęśliwa — wprost potwornie. Tak. Dostali mieszkanie — nawet bez długich zachodów. Nie takie rzeczy! A dzieciak jest od Lodzi, co się zadawała z żołnierzami. Lodzia teraz urzęduje we Wrocławiu, w wiadomym fachu — tutaj Czesia nadyma się wzgardliwie i spluwa. Nigdy w sobie żadnej moralności nie miała, to już trzeba przyznać. Ale o dzieciaku myśli. Czasem przyjeżdża i zawsze coś Czesi na niego przyśle. Dzieciak się zdrowo chowa, będzie z niego kawał drania! — dorzuca Czesia z optymizmem; i oto skręcamy na cmentarz.

W samym omal centrum miasta, nieopodal kina „Stal", w otoczeniu nowych bloków mieszkalnych jest mały cmentarz. Zatknięte w glinę mogił krzyże przypominają, że obok doczesnych są i sprawy wiekuiste. Że są blisko. Na krzyżach przewieszono różańce, albo wieńce z papierowych, wypełzłych już róż.

Stoimy przed takim jednym ubożuchnym grobkiem. Czesia wyciąga z nylonowej torebki wzorzystą, amerykańską chusteczkę — i rozgłośnie smarka.

— „Biedna Rózia. Niedługo jej było się cieszyć tym nędznym życiem ludzkim. Potwornie mnie jej żal. Coś w miesiąc po moim ślubie jak wleciała pod ciężarówkę. Pod alkoholem była. Nie ma się co dziwić. Ostatnio, Rózia wprost potwornie lubiła być urżnięta, wprost potwornie. — I Czesia ociera grube łzy lecące jej po piegowatych policzkach. — A jej Andrzejek to w żłobku. Dobrze, że choć zdążyła ochrzcić..." Patrzymy na czarną tabliczkę i czytamy ubogą wieść: Rozalia Twarduś ur. 1936 — w Brzesku zmarła 1955... Jest tabliczka i jest krzyż, i jest wierna pamięć Czesi — ale grób Rozalii Twarduś przecież należy do bezimiennych. Któż poda światu słowo Rozalii Twarduś? Kto ocali od zapomnienia jej życie, może nie tak znów zwykłe, jeśli mierzyć miarami cierpienia i krzywdy? Kto zechce sprawdzać rachunki, za które płaciła młodym istnieniem nędza chłopskiego, zgrzebnego dzieciństwa, ciemnością młodości, rozterką jej niezawinionego macierzyństwa? Jakież było to życie, przed którym kiedyś zamajaczyły kusząco światła Nowej Huty, światła lepszego losu, światła wybawienia? I jakież musiało być to życie później, jeśli jedyną ucieczką, jedyną jego osłodą była wódka?

Kto dziś sprawdzi, czy to przypadek skierował ją pod koła ciężarówki, czy może rozpacz, zwykła, odwieczna, ludzka rozpacz. Ale Czesia przypomina o życiu.

— Może byś się u nas wykąpał? Mamy łazienkę. Wszystko działa. A wieczorem możemy pójść do kina. Zdobyłam bilety! Dziś jest sobota, „mój" się zaleje elegancko, to nie ma co na niego liczyć, pójdziemy razem. I gromko przywołując dzieciaka Lodki, który właśnie zabiera się do rozgrzebywania Rózinej mogiłki, opuszcza cmentarz.

Jest zmierzch. Anna Morawska gdzieś przepadła zatopiona w problemach kulturalnych. Sam wracam do Krakowa, ale i nie sam. Jadą ze mną w tramwaju dopiero co słyszane słowa, jadą ludzie — widma czy raczej widma ich spraw, jedzie cmentarz i teatr, Czesia i Rózia.

Przede mną polśniewa we mgle wielkimi kroplami świateł Kraków, miasto smoka — czy może rajskiego ptaka?

Bo nie zdążyłem jeszcze wam opowiedzieć ani o teatrach Krakowa, których rozgłos przekroczył granice kraju, ani o rewelacyjnych koncertach, ani o tym co się dzieje w młodej plastyce, ani o zdumiewającej wystawie malarstwa dziecięcego. Nie pokazałem wam jeszcze nowych dzielnic, w których rozkwita coraz piękniejsze życie, nie zdążyłem przedstawić wspaniałej wizji architektonicznej przyszłego Krakowa, którą wymarzył i skonkretyzował na papierze inżynier Zbigniew Solawa.

Nie zdążyłem pokazać wam tylu pejzaży i opowiedzieć tylu nowin, które zachwycają w tym mieście, w mieście, które pozwólcie mi nazwać miastem rajskiego ptaka.

Więc jeśli was jeszcze nie zanudziłem na amen, to wrócimy do tego tematu „drugą razą", jak zwykło się mawiać w Krakowie.

JERZY STADNICKI

PILNE A WAŻNE

W OSTATNIM felietonie miałem honor zaprezentować Szanownym Czytelnikom teoryjkę o nieustannej konieczności wyboru w życiu gospodarczym i w ogóle społecznym. *Repeto*, istnieje na świecie mniej dóbr, niźli potrzeb, wobec czego trzeba rezygnować z mniej pilnych, na korzyść pilniejszych, trzeba je w jakiś sposób porównywać, szeregować, ustawiać w „kolejce pilności".

Z tym jednak zastrzeżeniem, żeby nie mieszać dwóch, bardzo istotnych, dosyć podobnych, a przecież odmiennych pojęć: pilności z ważnością. Oczywiście, że pilne powinno ustępować przed jeszcze pilniejszym, podobnie jak jeszcze pilniejsze — przed niecierpiącym zwłoki. Pod warunkiem jednakże, by wykres pilności nie przeciął się z wykresem ważności. By nie znaleźć się w położeniu biegacza, który dobiegł pierwszy do mety, ale dostał ataku serca i umarł.

Albowiem nieuwzględnianie czynnika ważności obok czynnika pilności doprowadziłoby nas do absurdu. Istnieją sprawy, które nie są specjalnie pilne, a jednak muszą kiedyś być załatwione. Ani pomniki mickiewiczowskie, ani konkursy chopinowskie, ani stadiony festiwalowe, ani kultura w ogóle — nie należą do spraw bezwzględnie pilnych, i w pewnym sensie fabryki, szpitale, tramwaje, są na pewno pilniejsze, ale gdybyśmy zaczęli wyciągać z tego słusznego założenia zbyt daleko idące konsekwencje, to musielibyśmy zrezygnować z muzeów, koncertów i meczów, musiałyby z nich też prawdopodobnie zrezygnować nasze wnuki i prawnuki. Tak daleko nasz altruizm nie sięga i tu mamy — nawiasem mówiąc — odpowiedź na pretensje niektórych purytanów, że buduje się kawiarnie i kina, kiedy brakuje mieszkań i długo jeszcze ich będzie brakować.

Przepraszam tych, których razi zbyt natrętna oczywistość wyżej przytoczonych złotych myśli, sądzę jednak, że potrzebna jest czasem taka mała apologia ważności. Że ważność bywa często pokrzywdzona przez pilność. Że ekonomiści, planiści i w ogóle ludzie decydujący o rozdziale pieniędzy społecznych, wciąż przynaglani przez pilność — defaworyzują niekiedy ważność, która... może jeszcze trochę poczekać. Trudno mieć do nich pretensję, podobnie jak trudno dziwić się biegaczowi, który nie zważa na pracę serca.

Chodzi właśnie o sprawę serdeczną, o sprawę ogromnie ważną, choć mało pilną — o starość. Mało pilną, ponieważ żaden plan, żadna inwestycja, żaden kombinat nie zależą od jej załatwienia. Mało pilną, bo jak świat światem bywali starcy krzywdzeni, bywali nawet uśmiercani, a w każdym razie częściej bywało im źle, niż dobrze — a mimo to ludzkość żyje i nawet doskonale się miewa.

A przecież starość jest ważna, bardzo ważna i — choć niepożyteczna, choć nieraz zawadzająca — przecież wpływa na bieg historii bardziej niż kultura, wychowanie fizyczne czy dobrobyt. Wpływa dzięki jednej swej właściwości: że będzie udziałem każdego, że począwszy od trzydziestego roku życia, każdy się musi z nią liczyć. Że ostatecznie rozstrzyga o tym, czy życie było udane, czy nie, szczęśliwe, lub nie, że rozstrzyga o jego sensie.

Celowo pomijam tu antynomię spirytualizmu z materializmem, po-

JERZY OLKIEWICZ

TRZY WYSTAWY

MOŻE to jest cecha naszej narodowej kultury, że cały czas coś nadganiamy. Nasz rozwój jest zaprzeczeniem ciągłości; jest to rozwój etapowy. Bez uogólnień — oto przykład: muzyka. Chopin — długo, długo nic — potem Szymanowski. Dwie wielkie indywidualności — w środku miernota. Szymanowski olbrzymim wysiłkiem przelatuje kilka epok historii muzyki. Przyswaja je w skondensowanej formie muzyce polskiej odciętej na z górą pół wieku od jakichkolwiek źródeł rozwoju. — Wybitni twórcy w naszej historii nie mogą myśleć wyłącznie o sobie — to byłby za wielki luksus. Zawsze harują za innych. Nadrabiają zaległości. Płacą za historię. Płacą za ignorancję. Płacą za durniów. To prawdziwi cierpiętnicy. Zaczynają walkę, mając do pomszczenia jakąś krzywdę. Zwyciężają i umierają na suchoty.

Dlatego dość trudno jest niekiedy ocenić ich twórczość. Okres impresjonizmu u Szymanowskiego jest poważnie spóźniony w stosunku do Debussy'ego, ale kto by kwestionował piękno i wartość *I koncertu skrzypcowego*? Nierzadko, mimo opóźnień stwarzamy cenne wartości. Potrafimy korzystać z osiągnięć innych, nie będąc eklektykami. Umiemy podziwiać i podziw nasz jest konstruktywny.

To wszystko odnosi się do malarstwa. Kapiści prochu nie odkryli, ale dali coś, co jest odpowiednikiem postimpresjonizmu Szymanowskiego. Ich walka nie była rewolucją. Nie przyrzekali rzeczy niemożliwych. Byli to ludzie uczciwi.

W sądzie o naszej współczesnej plastyce trzeba w równym stopniu uwzględnić ten pryzmat zaległości. Czy to będzie wypaczenie sądu? Raczej nagięcie go do rzeczywistości.

W całym naszym obecnym malarstwie można wyodrębnić trzy zasadnicze postawy: — to nie są kierunki. Postawa pierwsza — w oparciu o współczesny zachodni neorealizm. Druga — zapatrzona w awangardę sprzed 30 i 20 lat i jej obecnych kontynuatorów. Trzecia — skromne kultywowanie dotychczasowych zdobyczy w odcięciu od wszystkiego, co pachnie awangardą. W ramach każdej z tych grup mogą istnieć artyści oryginalni i indywidualni. W ramach każdej istnieją naciągacze i blagierzy.

Widziałem ostatnio trzy wystawy. Wystawę Okręgową w Warszawie. Wystawę Jesienną w Sopocie i Wystawę grupy abstrakcjonistów i surrealistów w Krakowie. Nie mam zamiaru pisać recenzji, ani opisywać poszczególnych obrazów. Chcę wyciągnąć jakieś wnioski. Wątpię, czy w sądzie o sztuce możliwa jest kiedykolwiek bezstronność. Myślę, że pewna stronniczość jest bronią krytyka. Wiem, że bezstronność jest zaprzeczeniem krytyki. Dlatego moje wnioski nie będą bezstronne.

W naszym malarstwie panuje w gruncie rzeczy konsternacja. Dzwony biją, ale dla kogo bije dzwon? Zabrano malarzom oficjalną wiarę w akademickiego cielca — sami nie zdołali jej jeszcze zastąpić czymś innym. Trochę na zasadzie wojskowej komendy: w tył zwrot — rozejść się. Malarze wrócili do swoich domów opuszczonych przed kilku czy kilkunastu laty — do starych malarskich mateczników. Nieliczni próbują robić coś nowego. Nieliczni usiłują grupami bronić dawnych pozycji. Reszta uznała zawieszenie broni.

Nie ma co ukrywać, że Wystawa warszawska jest w sumie bardzo słaba. Sopocka — trochę ciekawsza. O krakowskiej odważyłbym się powiedzieć, że jest prawie nudna. Podziwiam upór krakowskich malarzy. Upór jest to mniej niż konsekwencja — bo konsekwencja zakłada pewien rozwój — ale dużo więcej niż brnięcie w jakimś kierunku uliczką czy zaułkiem.

Zaczynam od krakowskich malarzy, bo stanowią oni jakąś grupę. Podobnie — choć na odmiennych zasadach — pragną wyodrębnić się z obecnego chaosu młodzi warszawscy plastycy, którzy przybrali nazwę „Grupy 55" (Bogusz, Dłubak, Sosnowski, Zaborowski). Powstanie każdej grupy jest zawsze zjawiskiem korzystnym. Korzystają na tym malarze w podwójny sposób — poprzez wzajemny doping i wzajemną pomoc — i przez to, że krytycy się zawsze z grupą liczą: rzadko pisze się o poszczególnych młodych malarzach, zawsze się pisze o grupie.

Wydaje się, że znaczenie tych obu zgrupowań nie polega na jakichś konkretnych osiągnięciach artystycznych. Te grupy coś postulują i czegoś uczą — i to jest ich wartość. Malarze krakowscy przypominają o tym, że dyscyplina formalna obrazu jest podstawą plastyki — to jest swoisty gatunek plastyki dydaktycznej. „Grupa 55" próbuje postulować nowe treści, przypominając, że one powinny być osnową współczesnej plastyki. Obie wypowiedzi są krańcowe i niekompletne. W obu więcej jest swoistego dydaktyzmu, niż artyzmu i indywidualności. Obie usiłują coś nadgonić: krakowska — awangardę sprzed dwudziestu lat; warszawska—współczesny neorealizm.

Jeżeli można mówić o jakimś gatunku sztuki lokalnej, związanej nierozerwalnie z pewnym środowiskiem — tu mamy do czynienia z najlepszym przykładem. Znaczna liczba obrazów krakowskich — to abstrakcjonizm dla ubogich przyprawiony metafizyczno - poetyckimi tytułami. Te tytuły to już za stary kawał, panowie malarze! Trzeba być olbrzymim poetą tak jak Klee, żeby z surrealizmu zrobić sztukę paradoksalnie sensowną. Tytuł nie uratuje obrazu, nawet tytuł najzręczniejszy, czy najgłupszy. Na wystawie są tytuły zupełnie piramidalne — przestają być bezsensowne, stają się idiotyczne. Im gorszy obraz, tym wymyślniejsza nazwa. „Tory stawania się w ciszy światła". Komu światła?

Nie wyobrażam sobie tej wystawy poza Krakowem. Nie wyobrażam sobie jej poza tym konserwatywnym środowiskiem. Bo pomimo całej pozy na awangardę ta wystawa jest konserwatywna. To jest głuche echo przebrzmiałych zachodnich rewelacji, echo, które nierzadko trąci plagiatem. To jest rewolucja w akademickim fraku.

Jest coś chorego w kompozycjach Brzozowskiego, Mikulskiego czy Kantora. Może w tym jest jakaś malczewsko - witkacowska tradycja. Jakoś nie mogę się dopatrzyć malarstwa w okropnych kompilatorskich płótnach Maziarskiej, Rosensteina czy w reklamach z Vogue'u Skarżyńskiego. Nie przemawiają do mnie szaro-bure, pazurato-zębate bestie Kantora, ani druki na wiosenne sukienki Jaremy. Z ulgą oglądałem śliczną martwą naturę i akt Nowosielskiego, czy ładne, bardzo kulturalne kompozycje Sterna. W sumie wydaje się, że większość eksponatów to prace niepoważne, naciągane, nie autentyczne — kapliczka dla snobów.

I oto zabrnąłem w krytykę, nie biorąc pod uwagę „współczynnika zaległości", o którym pisałem na wstępie. Bo porównując wystawę krakowską z olbrzymią masą warszawskich płócienek, mdłych, cklivych, nudnych, z malarstwem poczciwych ciotek — trzeba złagodzić zbyt ostry sąd. Na wystawie krakowskiej malarzom chodzi o plastykę, o wartości wizualne (wprawdzie nie czysto wizualne, bo mieszają w to metafizykę). Tu malarstwo rozłazi się w jakimś sentymentalnym sosie. Malarze krakowscy korzystają z wzorów sprzed 20 lat — tu są wzory jeszcze dawniejsze i jeszcze gorsze.

Kompozycje „Grupy 55", odbijające się od tych prac, są jednak zupełnie nie zróżnicowane w charakterze i bardzo surowe. Te świadomie antyestetyczne kolory „na chama", te codzienne, pospolicie realistyczne rekwizyty — to jeszcze nie jest malarstwo, mimo najlepszych chęci i odwagi potrzebnej do każdego eksperymentu. Mimo wszystko „Grupa 55" chce czegoś nowego i o coś walczy — to jest jakiś konkret.

Tyle o grupach — więcej grup nie ma, pozostają malarze indywidualni. Tak w Warszawie, jak w Sopocie na tle prac miernych wybijają się nieliczne kompozycje ciekawe i odkrywcze. Poziom przeciętny w Sopocie jest wprawdzie dużo wyższy, niż w Warszawie, jednak monotonia sopockich pejzaży, czy martwych natur działa równie usypiająco jak warszawskie szmiry.

Wydaje mi się, że jest coś wspólnego w tych nielicznych ciekawych pracach. Idą one drogą pokrewną poszukiwaniom niektórych młodych malarzy francuskich, zasugerowanych wzorami Picassa i Matisse'a oraz ich kontynuatorów — dziś już powszechnie uznanych malarzy średniego pokolenia: Pignona, Marchanda, Gischia, czy Tal Coata — nie chcą bynajmniej puścić się na dość tani realizm Fougerona, wyrzec współczesnych odkryć formalnych. Gierowski, Stażewski, Winnicki w Warszawie, czy Ostrowski w Sopocie mają w swych obrazach jakiś entuzjazm i świeżość, odwagę w operowaniu współczesnym warsztatem, siłę przekonywania związanym z każdym szczerym malarstwem. Stosowanie konturu dźwięcznego koloru, syntetycznej formy nie przechodzi tu bynajmniej w manierę. To malarstwo jest młode i pełne rozmachu. Pokazuje — na tle trzech wystaw — jakąś drogę rozwoju. Ta droga nie prowadzi do nikąd.

Stefan Gierowski — Gołębnik

Jonasz Stern — Kompozycja

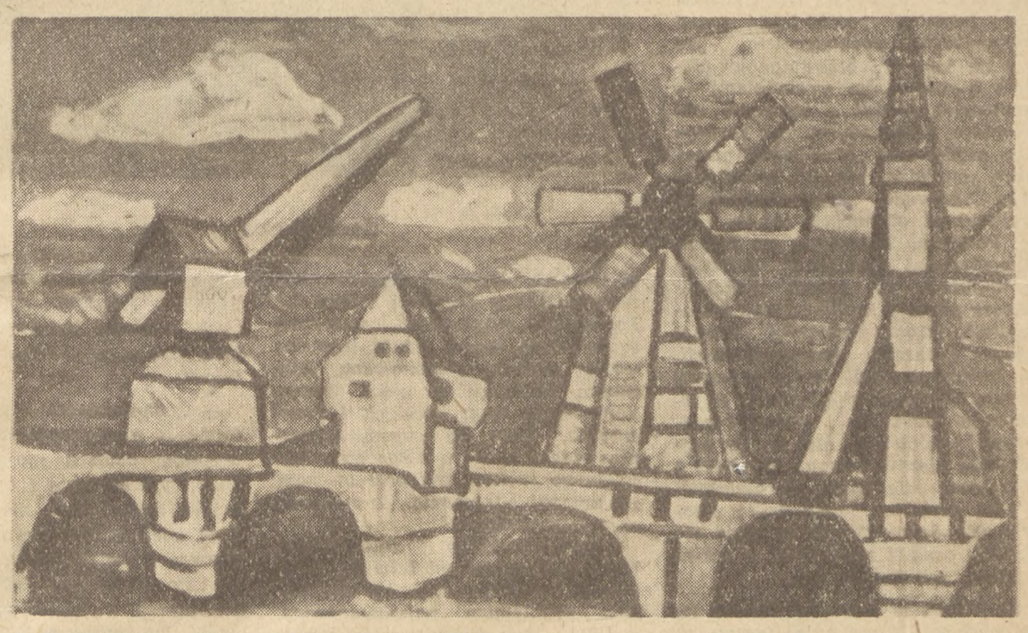

Kazimierz Ostrowski — Pejzaż

---

nieważ chodzi mi o czysto doczesną stronę problemu.

Mimo że psychika ludzka jest skonstruowana w ten sposób, iż człowiek nie ogarnia wyobraźnią ani uczuciem dalekiej przyszłości, mimo że instynkt samozachowawczy stanowi walną podporę człowieka w walce z czasem — przeklęty rozsądek raz po raz przypomina mu realność starości, raz po raz szepce: spiesz się z urządzaniem życia, bo musisz do czegoś dojść, nim będziesz stary. I najbardziej uduchowiony, czy uspołeczniony człowiek nie jest wolny od rentierskiego pytania: z czego będę żyć, gdy nie będę mógł już pracować?

I po cóż ukrywać przed samym sobą, że społeczeństwo może wymagać od człowieka ogromnych wyrzeczeń i nawet bohaterstwa, ale tylko pod tym warunkiem, że mu zapewni możliwie szczęśliwą starość.

Dlatego stare, mądre cywilizacje — żeby wymienić tylko chińską — otaczają starość nadzwyczajną opieką i czcią.

Można zaryzykować twierdzenie, że miernikiem kultury społeczeństwa jest jego stosunek do starości. Podobno u pierwotnych szczepów polinezyjskich panuje zwyczaj, że kiedy starzy rodzice niedołężnieją — winduje ich się na drzewo, którym się potem mocno trzęsie. Jeżeli staruszek ma tyle sił, by się utrzymać, znak to, że jest jeszcze zdolny do pracy, ale jeżeli spadnie — zostaje niezwłocznie zabity. Do ciekawych wniosków prowadzi lektura „Chłopów". Starcy są szanowani, i owszem, ale tylko tak długo, póki nie uczynią „zapisu". Wszystkie nieszczęścia Borynów płyną stąd, że Maciej nie chce pójść „na wycug" do dzieci, bo wie dobrze, że jego los byłby podobny do losu Jagustynki, Agaty Kłębowej i starego Bylicy. Tacy są polscy chłopi z powieści Reymonta i trzeba przyznać, że nie potrzebują się wstydzić przed francuskim mieszczaństwem z Komedii Ludzkiej: co drugi stary ojciec umiera „w szpitalu", co u Balzaca oznacza dno społecznego upadku. Zarówno Polakom, jak Francuzom daleko do przedstawicieli cywilizacji orientalnych.

Dlatego ideałem zachodnio - europejskiego mieszczaństwa jest renta, reprezentowana przez domek, kawał gruntu lub konto w banku i gwarantująca dobrobyt na stare lata. Nie jest to rozwiązanie szczęśliwe choćby dlatego, że odwraca uwagę człowieka od zadań społecznych, orientując ją wyłącznie na pieniądze. I to jest chyba istotną słabością kapitalizmu, gdyż najpiękniejsze dziedziny ludzkiej twórczości nie są — na ogół — rentowne.

U nas troskę o materialne zabezpieczenie starości przejęło, w zasadzie, społeczeństwo. Nie wywiązuje się ono najlepiej z tego zadania. Emerytury i renty nie gwarantują minimum egzystencji. Wynikiem tego jest często spotykane zjawisko poszukiwania pracy przez emerytów i rencistów. Nie o tym jednak chciałem dziś pisać. Los naszego emeryta, czy rencisty, nie jest wprawdzie godny zazdrości, bywa nawet niekiedy zły, ale bywa też dobry, ponieważ ludzie ci mają na ogół rodzinę, która ich utrzymuje. Emerytury i renty pomyślane są raczej nie jako źródło utrzymania, lecz — pomoc.

Gorzej jest ze starcami, którzy nie mają rodzin, względnie — mają rodziny, które się o nich nie troszczą, względnie — troszczą się, ale nie mogą pomóc. Słowem — z podopiecznymi zakładów opieki nad dorosłymi, z mieszkańcami tzw. przytułków.

Znam kilka takich zakładów, na różnym poziomie, prowadzonych przez zakonnice albo ludzi świeckich. Wszystkie są równie beznadziejne, równie szare, równie brzydkie, odrażające samą już architekturą, przesiąknięte mdłym zapachem kapuchy. O wszystkich można zgrubsza powiedzieć to samo: traktowanie pensjonariuszy jest dobre, czystość panuje wzorowa, opieka lekarska jest zapewniona, wikt — dostateczny. Czegóż więcej trzeba?

Nie wiem, wiem tylko, że gdyby tam zamieszkał ktoś bardzo mi bliski, powiedzmy ojciec lub matka, uważałbym, że stała mu się wielka krzywda, siebie zaś uważałbym za złego syna. Wiem jedno: że wszystko, co tam widziałem, jest jak najkategoryczniej sprzeczne z moim wyobrażeniem szczęśliwej starości.

Koszarowa czystość pomieszczeń, koszarowa estetyka sal, koszarowy styl życia, wieloosobowe sale, rygorystyczny porządek, zakaz trzymania rzeczy na wierzchu, niemożność odosobnienia, stworzenia sobie jakiegoś kącika, otoczenia się ulubionymi przedmiotami, przetasowania ludzi zupełnie sobie obcych kulturą, zainteresowaniami, pochodzeniem, wieczna tymczasowość, możliwość przeniesienia na inną salę lub nawet do innego zakładu, przymus pracy, wszechmoc kierownictwa, rozgrywki osobiste i — te niekończące się kłótnie.

I zważmy dalej: istnieje u nas, podobnie jak w całej Europie, kryzys mieszkaniowy, który nieprędko się skończy. Tylko że u nas sytuacja jest o tyle groźniejsza, że nasz przyrost naturalny bije światowe rekordy. Trzeba liczyć się z faktem, że mimo rozmachu naszego budownictwa, długo jeszcze będzie źle z mieszkaniami. Innymi słowy, za jakieś trzydzieści lat, tj. w chwili, kiedy nasze pokolenie pójdzie na emeryturę — problem będzie się przedstawiał może lepiej, ale na pewno niedobrze. Wówczas my, jak obecnie nasi rodzice, będziemy zawadzać. Każdy z nas pracuje, jak może, ale niewielu stać na wybudowanie domku. Zresztą — domek nie rozwiąże wszystkich trudności. Trzeba będzie jeszcze ubrać się i — jeść. Jeżeli uda nam się odłożyć dziesięć tysięcy złotych na PKO, to wyczerpią się one prędko. Będziemy na utrzymaniu naszych dzieci. Będziemy dla nich ciężarem. Pójdziemy na „wycug".

Niewesoła to rzecz, starzec w ciasnym mieszkaniu. Narzeka, albo ma w oczach cierpienie. Jest niezaradny, przysparza kłopotów. Choruje chronicznie, lub co gorsza, obłożnie. A dookoła dzieci, płaczące, niegrzeczne, potrącające wszystko i wszystkich. Mające prawo do ruchu i krzyku. Starzec niekiedy sam widzi, że jest zawadą, cierpi nad tym. Proponuje swoje odejście do przytułku, modląc się w duchu, by dzieci nie zgodziły się na to. Częściej jednak one same wymawiają mu przywary starości i o tyle trudno mieć do nich pretensję, że natura wyposażyła nas w instynkt rodzicielski silniejszy od synowskiego.

Po woli lub po niewoli musi więc często starość ustąpić przed prężną młodością, musi ojciec lub matka wywędrować do domu dla starców. Niekiedy cierpią nad tym dzieci, zawsze — on sam. Wchodzi w atmosferę ponurości, pretensji do całego świata, zawiści i nienawiści. Wchodzi do tego piekiełka ze świadomością, że nigdy z niego nie wyjdzie, że już w nim zostanie na z a w s z e.

Czy to jest perspektywa, która może kogokolwiek mobilizować do pracy?

I czy tak być musi?

Pytanie pierwsze jest retoryczne. Odpowiedź na drugie wymagałaby całej rozprawy. Ja rzucam tylko pewne myśli. W domu dla starców musi panować pewien porządek. Gdyby każdy chciał urządzać się po swojemu, doszłoby wkrótce do różnych, niepożądanych zjawisk, z których wystarczy wymienić: żebractwo i wszy. Co do pracy, wiadomo, że jest ona czynnikiem zdrowia psychicznego a nawet fizycznego. Ale wiele z ujemnych stron obecnych domów dla starców jest po prostu kwestią finansów: smaczniejsze jedzenie, na które starcy są tak bardzo wrażliwi, estetyczniejsze wnętrza, bardziej elegancka odzież, ogród — to są rzeczy, które można dostać za pieniądze. Podobnie — większa izolacja, a raczej: możliwość izolacji. Samotność jest luksusem i to bardzo kosztownym.

Społeczeństwo może wymagać, żeby w domach starców panowała zasada obowiązująca w domach dziecka: że standart życiowy odpowiada standartowi przeciętnej polskiej rodziny pracującej. A członek, przeciętnej polskiej rodziny pracującej jada codziennie masło, parę razy na tydzień — mięso i dosyć dużo słodyczy, ma przynajmniej jedno ubranie ze stuprocentowej wełny, palto z futrzanym kołnierzem, stać go na kino, teatr, wczasy itp.

A mieszkaniec domu dla starców jest pozbawiony tego wszystkiego. A kierownictwo mu tego dać nie może, bo nie ma na to funduszów.

Pewna moja znajoma, pensjonariuszka zakładu dla starców, w którym pracuje dość często, gdyż musi codziennie wstawać o piątej rano i nosić po piętrach kubły z węglem (a ma osiemdziesiąt lat) od niedawna cierpi na bóle okolicy serca. Jej sąsiadka pobiła ją w nocy z powodu... chrapania.

Niby — nic. Powiecie, że to może się zdarzyć w najlepiej prowadzonym zakładzie. Ale pytam: gdyby to była wasza matka? Tak zwana „myśl nie do zniesienia" — prawda? A przecież podobne wypadki i gorsze zdarzają się tam codziennie. Wypadki pobicia. Wypadki zwymyślania Wypadki posądzenia o kradzież. Wypadki rzeczywistej kradzieży. Przecież cała gorycz — uzasadniona gorycz — która się uzbierała w tych ludziach, zostaje wyładowana na otoczeniu, ze szczególnym uwzględnieniem najstarszych, najmniej odpornych. Pełno więc tam zebrań, intryg, sądów, karnych przeniesień.

Jakże więc dopuścić, by zamieszkał tam ktoś najbliższy?

A znów — nie dopuścić, to znaczy często trzymać w jednym pokoju osobnika z ropiejącą przetoką i małe dzieci. Jednym słowem — dwie możliwości, z których każda jest równie straszna.

Czy można coś na to poradzić? I tak i nie. Nie można starca odmłodzić, zastąpić chorego organizmu — zdrowym. Natomiast można zwiększyć dotacje na domy starców. I trzeba. Sprawa ważna.

Stanie się to, naturalnie, kosztem kilku spraw pilnych.

*

Z okazji Bożego Narodzenia, składam w imieniu Redakcji i własnym, wszystkim mieszkańcom Zakładów Opieki nad Dorosłymi, życzenia spokojnych Świąt.

KONRAD EBERHARDT

DOPEŁNIENIE PORTRETU HUMANISTY

PODCZAS studiów uniwersyteckich upewniałem się, czy na pewno Paul Cazin jeszcze żyje? Czy nadal przekłada arcydzieła literatury polskiej na język „Pieśni o Rolandzie" i Wiktora Hugo? Jedno było pewne, że żyje. Ktoś widział starszego, niewysokiego pana o tym nazwisku podczas uroczystości jubileuszowych Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie w 1948 r. Byli nieliczni szczęśliwcy, którzy stykali się z nim we Francji i prowadzili z nim nawet ożywioną korespondencję, nie przeznaczoną, oczywiście, dla szerszego ogółu. Dla mojego pokolenia Cazin należał już częściowo do legendy. Wiedzieliśmy, że jest autorem zdumiewającego swą nowoczesną techniką przekładu „Pana Tadeusza" (ostatnio zastosował tę technikę Jan Parandowski tłumacząc poetycką prozą „Odyseję"), przekładów Paska, Reymonta i innych, a wreszcie obszernego, świetnego dzieła o księciu-biskupie warmińskim, Ignacym Krasickim... Ale równocześnie wydawał się ów Cazin nieznany i daleki. Przypominał pioniera, który tak daleko zaszedł spełniając swą „misję", że... aż o nim zapomniano.

Powracam w tej chwili do tych niedawnych wspomnień mając za sobą kilka rozmów z Paul Cazinem, mając w pamięci moment pożegnania go na Dworcu Głównym w Warszawie. Zetknięcie się wyobrażenia o Paul Cazinie z żywym Cazinem nastąpiło tak szybko, że dopiero teraz usiłuję zsynchronizować te dwa wizerunki. Czy zachodzi pomiędzy nimi jakaś różnica? Na pewno. Przyjechał oryginalny pisarz, autor nieznanych w Polsce książek i wysoce oryginalny człowiek, zaskakujący niebywałą bezpośredniością, szczerością, otwartością. Zawstydził nas wszystkich swoją postawą: nie przyjechał przecież jako „honorowy gość", przyjechał jako „swój" do „swoich". Rozbijał swymi przemówieniami sztywny nastrój wszelkich akademii, zgromadzeń towarzyskich, bankietów — czuł się po prostu jak u siebie w domu — i to było właśnie zachwycające. W rozmowach prywatnych wyjaśniał ów naturalny i pogodny sposób bycia swym burgundzkim pochodzeniem. „Je suis un moineau bourguignon" (Jestem burgundzkim wróbelkiem) — powiedział kiedyś z uroczym uśmiechem, który zdolny był rozproszyć najbardziej „zawiesistą" atmosferę „oficjalnej okazji". Mimo słabego zdrowia niezmordowanie przyjmował garnących się do niego Polaków. Zadręczali go swymi odwiedzinami „znajomi" należący co najmniej do trzech pokoleń: starsze panie z krakowskiego towarzystwa, które pamiętały Cazina jeszcze z czasów uniwersyteckich, ci, którzy „poznali go" z broszury Józefa Weyssenhoffa, potem z felietonów Boya, no i wreszcie najmłodsi wielbiciele, ale za to najbardziej niezmordowani. Wywiózł z Warszawy całe pudło nierozciętych listów, podobno ponad setkę. Zresztą nic dziwnego: Cazin daje się kochać, posiadł ten sekret w takim stopniu, jak rzadko kto.

Zachwyca w jego charakterze to, że nie czynił i nie czyni tajemnicy z przebiegu swego życia, ze swych porażek życiowych, ze swych zapatrywań na różne współczesne sprawy. Wielu osobom, z którymi się stykał w Polsce, pozostawił wiele odręcznych notatek, fragmentów dziennika osobistego, wycinków prasowych. Dzięki tej postawie „otwartości" mogliśmy zamieścić w „Dziś i Jutro" jego porywające „Notatki o sprawach polskich", zadziwiające trafnością i świeżością obserwacji. Dzięki niej wydawnictwo, które zechce dać czytelnikowi polskiemu do rąk znakomitą książkę Cazina „L'Humaniste à la guerre", będzie miało ułatwione zadanie: autor pozostawił w Polsce materiały zawierające sądy współczesnych o tej książce, jej „drogę w czasie".

Leżą przede mną równo przycięte, niewielkiego formatu kartki, zapisane drobnym pismem maszynowym, obok wycinki z pism. To z nich wylania się oblicze Pawła Cazina, jakiego jeszcze nie znamy, jakiego odkrycie nadal na nas czeka: Cazina, znakomitego pisarza francuskiego. Oto fragment listu Giovanni Papiniego, wysłanego z Arezzo 8 sierpnia 1923 r.: „Rozkoszowałem się lekturą „Humanisty na wojnie" — pisze Papini — Włada pan francuszczyzną tak lekką i wyśmienitą, posiada pan umysł tak dalece samodzielny, że dziwię się, czemu nie jest pan bardziej znany i uznawany we Francji. Niech pan wybaczy mój na pół francuski żargon..."

— To było po moim powrocie z Włoch — wspomina Paul Cazin w rozmowie ze mną — Papini wydał właśnie swoją książkę o Dantem i zalecał mi przeczytać ją w oryginale lub w przekładzie francuskim, który właśnie ukazał się nakładem Bernarda Grasset. Ale nie tylko on z wielkich umysłów epoki zainteresował się moją książką. Jacques Maritain również poświęcił jej kilka słów...

Odszukuję wspomniany fragment książki Maritaine'a „Theonas".

„Cazin — pisze w swoich rozważaniach sławny filozof — zajmuje miejsce obok autorów kilku podobnych książek, w szeregu mistrzów naszego języka. Dostrzegam w nim doskonałą umiejętność zachowania miary i ilości. Nasuwa wspomnienie wyśmienitej zwięzłości naszych dawnych autorów, nie zapominając o czystości wieku La Fontaine'a; rozporządza roztropną subtelnością, mądrą ironią, uczuciowością głęboką i stonowaną, jego sztuka pozostaje w głębi dziwną kompozycją zalet greckich i francuskich. Lecz ze wspomnieniami Muz mieszają się u niego echa kościelnego śpiewu, przynosi on nam zapowiedź odrodzenia humanizmu chrześcijańskiego..."

Chrześcijańskiego humanizmu! Właśnie problem właściwego rozumienia chrześcijaństwa był dla Cazina problemem najważniejszym, gorącym. Jego wiara nie jest łatwą, ani prostą sprawą. Sam mówił kiedyś, że człowiek właściwie powinien się co dzień nawracać, i że sam o sobie nie może powiedzieć, czy już r z e c z y w i ś c i e należy do Kościoła. Jego uwagi osobiste przepełnia żal, że świat coraz bardziej oddala się od żywego nurtu chrześcijaństwa, że często przytłacza go zewnętrzna doskonałość form, przerost zagadnień czysto formalnych, którego nie wahał się kiedyś określić mianem „kościelnej biurokracji". A ponadto sprawa tzw. horyzontów kulturalnych. Przez całe życie za Cazinem, poprzez jego twórczość, snują się widma zrodzone w wyobraźni Greków, z fantazji starożytnych Rzymian. Nie wszystkim to się podobało. Zapominano zbyt szybko, że wielkością chrześcijaństwa jest właśnie jego zdolność asymilowania wielkich wartości kulturalnych i wielkich postaw humanistycznych, powstałych przed jego narodzeniem, czy poza bezpośrednim jego oddziaływaniem. Dlatego tak wielkim pietyzmem otacza Cazin list generała zakonu Dominikanów, arcybiskupa Gilleta, który oddaje sprawiedliwość „humanistycznej" postawie Paul Cazina. „Głęboka filozofia wydobywa się z tych kart („Humanisty na wojnie"), filozofia życia, relatywnych wartości ludzkich i wszystkich rzeczy w obliczu Absolutu i Boga".

— ... Tymczasem — ciągnie Paul Cazin —, mimo pochwał wybitnych umysłów książka moja nie była znana powszechnie i być może nie mogła nawet stać się popularna. Zbyt wiele w niej łaciny, tytuł niezręczny i abstrakcyjny. W ciągu 30 lat sprzedano jej tylko 5.124 egzemplarzy. Natomiast powieść „Décadi", do której przywiązuje nieco mniejszą wagę, osiąga już dziewiętnasty tysiąc egzemplarzy...

Córka pisarza — Catou

AUTOR i jego książki przechodzili różne koleje losu. Bywali zapomniani, odnajdywali kontakt ze światem otaczającym i tracili go. Pisarz, którego bogactwo umysłowe, zawarte w książkach, nie mogło trafić do najszerszych mas odbiorców — poświęcił się niejako drugą częścią swej psychiki literaturze polskiej, również niepopularnej na gruncie francuskim. Czy to pech? Czy samorzutna rezygnacja z rozkoszy popularności? Wydaje mi się, że nie warto nawet zadawać pisarzowi takiego pytania. Powołania, miłości, talentu nie wybiera się w życiu. To one wybierają, upatrują sobie człowieka. W wypadku Paul Cazina — na pewno nie pobudki materialne zadecydowały, że niepopularny jako powieściopisarz zajął się niemniej niepopularną dziedziną. Powiedzmy sobie szczerze — ani Polska nie rozpieszczała nigdy Paul Cazina, ani francuscy odbiorcy jego przekładów. Istnieje na pewno jakieś tragiczne fatum w losie tego znakomitego pisarza, który przez całe życie musiał obijać się o mur obojętności, osiągając co najwyżej uczciwie zapracowane zainteresowanie u odbiorców. Wydaje mi się nawet, że Cazin działał znacznie aktywniej w dziedzinie popularyzacji naszych, polskich książek niż swoich własnych. Bądź co bądź jego tłumaczenia Mickiewicza i Berenta weszły jakoś w „krążenie" kulturalnych soków Francji... Sam określa pracę na tym polu ewangelicznym zdaniem: „Żniwo duże, a robotników mało". Właśnie na temat tych „robotników" rozmawiałem z Cazinem.

— Wydaje mi się, że znajduję pewien postęp w rozpowszechnianiu we Francji wiedzy o literaturze polskiej. Najważniejsza praca pozostała już za nami. Wydano ostatnio „Chama" Orzeszkowej w moim przekładzie, który spotkał się z dość dużym zainteresowaniem... Jednak jestem nieco zanadto oddalony od centrum życia literackiego, od literackich pism paryskich. Swojego czasu redaktor „Les Nouvelles Littéraires", Lefèvre, zwracał się do mnie o przekłady z literatury polskiej, ale sam przegapiłem kilka okazji. Teraz zastąpią mnie młodsi. Ja jestem tym, który dyryguje całą pracą i napędza „robotników"... Mamy teraz we Francji kilku uzdolnionych polonistów. Przede wszystkim Henri Grapin, autor świetnej „Historii Polski", ostatnio zajmuje się on również pracami literackimi. Ponadto Jean Bourilly, dawny kierownik Instytutu Francuskiego w Krakowie, tłumacz i wielbiciel Słowackiego, pisze o nim teraz obszerną pracę. Wreszcie M. Grosclaude, poeta i profesor, miewa często odczyty na tematy literatury polskiej. Ja sam ograniczam się ostatnio do wykładów powszechnych na tematy polonistyczne i pracy w Towarzystwie Przyjaźni Francusko - Polskiej...

Patrząc na Pawła Cazina chciałoby się w pełni uznać jego prawo do odpoczynku po dziesiątkach lat wytężonej i niewdzięcznej pracy. Ale przeglądając jego ostatnie notatki, chociażby te drukowane w „Dziś i Jutro", dochodzę do wniosku, że pisarz nie ma zamiaru udzielić sobie urlopu. Z notatek tych przemawia ogromna wiedza o współczesnej Polsce, o współczesnych prądach umysłowych. Zajmuje własne stanowisko wobec wielu zjawisk. Interesuje się żywo wymianą zdań pomiędzy katolikami a marksistami, śledzi uważnie spór pomiędzy Schaffem a Chałasińskim. Interesują go dalsze koleje „sporu o Mickiewicza".

— Chciałbym się spotkać kiedykolwiek z prof. Żółkiewskim — powiedział Cazin — aby mu powiedzieć, że znajdzie we mnie sprzymierzeńca w wielu słusznych wystąpieniach, ale również i przeciwnika w kwestii interpretacji dzieła Mickiewicza. To samo dotyczy prof. Kubackiego i jego książki „Żeglarz i pielgrzym". Jakież to obalanie „legendy Mickiewicza" tam obserwujemy! Przecież Mickiewicz żył świętością i do swojego ideału świętości dążył! Nie można go tego zasadniczego rysu osobowości pozbawiać... Chodzi o istotę chrześcijańskiego ducha jego życia i dzieła...

Cazin pokazał mi stos żółtych kartek — to maszynopis jego ostatniej, niewielkiej pracy o Mickiewiczu, zajmuje w niej własne stanowisko wobec spornych kwestii. Czy praca ta ukaże się w przekładzie polskim? To będzie zależało od instytucji, której Cazin książkę powierzy.

Duże wrażenie na pisarzu zrobiło przedstawienie „Dziadów" w reżyserii Aleksandra Bardiniego. „Ten utwór jest przykładem wspaniałej epiki dramatycznej" — powiedział. Dodał, że dawno nie widział równie świetnej scenografii, odnajdywał w tych dekoracjach echa malarstwa francuskiego: Daumiera i Gustawa Doré. Zachwycił Cazina Gogolewski w roli Gustawa-Konrada. „Apollo i Jowisz, wdzięk i siła równocześnie" — powiedział o nim. Potem odetchnął z ulgą: „Dobrze, że na widowni nie było Georges Sand. Kto wie, może Gogolewski byłby jeszcze jedną jej ofiarą. Po prostu porwałaby go!" Nie wiem, czy młody aktor ma cieszyć się, czy smucić, że żyje w sto lat po śmierci francuskiej pisarki, która z takim zachwytem, jak wiadomo, przyjmowała mickiewiczowski arcypoemat...

Rozmawiałem z Cazinem nazajutrz po premierze „Dziadów": pisarz był zmęczony, powiedział, że poezja Mickiewicza słyszana ze sceny porwała go tak dalece, że później czytał „Dziady" do drugiej w nocy. W rezultacie przez dłuższy czas nie mógł zasnąć. Borykał się z wyczerpującym stanem półsnu, półjawy. I wtedy właśnie podczas tej rozmowy z Cazinem, mogłem ocenić, jak dalece jest zżyty z literaturą polską, w jak wielkim stopniu należy już ona do jego osobistego świata. Ów przykry stan nasunął mu natychmiast wspomnienie wiersza Tuwima pt. „W nocy" (Przy okazji: niebawem wyjdzie we Francji cazinowskie tłumaczenie słynnej „Lokomotywy" Tuwima!) Wiersz ten został niegdyś przepisany we Francji i teraz leży przede mną najpełniej ilustrując opowiadanie pisarza:

„...zapadając w somnilingwę
w somnilingwę, w somniferę
w nieruchomą otchłań trwania
i tak usnę zapatrzony
w czarny krzyż na białej
ścianie..."

Polaka, wielokrotnie zapewnianego o „hermetyczności" jego języka, a więc i dorobku literackiego — taki fakt zawsze musi wzruszyć.

To, co jeszcze niewątpliwie zachwyca w postaci Paul Cazina — to jego autentyczna młodzieńczość. Sekret jej leży w umiejętności nawiązania przez pisarza, którego młodość upłynęła w oddalonej epoce, kontaktu ze światem dzisiejszym. I to kontaktu żywego, bynajmniej nie nacechowanego biernością. Cazin orientuje się świetnie w problematyce współczesności, potrafi się zdobyć na jej wnikliwą analizę. Nie jest obojętny wobec przemian społecznych i politycznych, jakie dokonały się w naszym kraju. Zabiera chętnie głos na ten temat. Właśnie dlatego, że jest chrześcijaninem. Interesuje go również ruch społeczno postępowy katolików w Polsce. Wiadomość o przyznaniu mu nagrody im. Włodzimierza Pietrzaka ucieszyła go bardzo, jak również zamieszczenie w „Dziś i Jutro" wspomnianych już „Notatek o sprawach polskich". Zdaje sobie sprawę, że wydrukowanie tych śmiałych, często nawet zaczepnych uwag oznacza równoczesne wyzwanie do walki i może narazić go na ataki ze strony prawicowych ugrupowań katolickich we Francji. Paul Cazin czuje się jeszcze na siłach, aby te walkę podjąć, aby bronić swego stanowiska, swoich argumentów. Na to żaru wewnętrznej, duchowej młodości wystarczy.

Chciałbym tę próbę portretu Paul Cazina zakończyć jego własnymi słowami napisanymi na Boże Narodzenie 1943 r., które może najpełniej charakteryzują jego widzenie człowieka i świata, naczelnej zasady rządzącej nimi harmonii.

„Wielki, milczący szkielet katedry wydawał się drżeć pod nieprzenikionym niebem, jej witraże, jak martwe oczy staruszki, które nie widzą już światła — bladły zwolna w ciemnościach. Ale jej serce, gdy wszedłem, ogrzało mnie oddechem stajenki i jej głos mówił:

— Dzisiaj światło spłynie na was...

Zastanowiłem się nad tym, zrozumiałem, że pokój jest udziałem ludzi, a Chwała przysługuje jedynie Bogu. I że nie należy bynajmniej szukać pokoju nadludzkiego, pokoju świętych — że można, a nawet należy odnaleźć smak pokoju pośród sporu namiętności i goryczy doświadczeń.

To, co daje człowiekowi prawdziwy pokój, to wiara w chwałę Boga, to wysławianie Go, to wyrażanie Mu swej wdzięczności, że jest aż w takim stopniu wiecznie, nieskończenie chwalebny.

GRATIAS AGIMUS TIBI PROPTER MAGNAM GLORIAM TUAM.

Można cieszyć się pokojem na przekór nędzy ciała, goryczy naszego serca, obawom duszy i chwiejności umysłu — jeśli tylko człowiek uświadomi sobie, że chwała Boża, najpełniej jaśnieje stykając się z tym mrokiem, i że jego potęga silniej jeszcze rozbłyskuje ponad tą niemocą..."

Paul Cazin z żoną

MADONNA

(Dokończenie ze str. 4)

czym, przenikliwym spojrzeniem obserwuje Giulianę.

— Nie, Enrico — powtarza ksiądz. — Teraz nie sprzedaje się już dzieci. Tak było dawniej, gdy ludzie nie znali jeszcze, co to jest miłość i dobroć Boża... Prawdziwy Bóg nie wymaga takiej ofiary, aby mu poświęcać żywych ludzi. Bóg potrzebuje modlitwy, ecco... Czasem też Bóg potrzebuje ofiary, ale nie takiej, jak zły Wezuwiusz, o którym tak pięknie opowiadała Giuliana. Mogą to być zaoszczędzone pieniądze, albo inny jakiś dar, ecco... — padre gładzi główki dzieci i uśmiecha się zadowolony, że udało mu się wybrnąć świetnie z pytania i skierować uwagę w określonym kierunku. Spogląda na stojącego obok mężczyznę. Giuliana widzi go pierwszy raz. Mężczyzna zdejmuje ze spoconej głowy kapelusz odkrywając gładko przyczesane włosy. Twarz ma tęgawą, jakby rozlaną od tłuszczu, w którym osadzone szare oczy, rzucają wkoło przenikliwe spojrzenie. Giulianie imponuje swym godnym zachowaniem. Nawet padre Lorenzo zwraca się doń z miłym i pełnym uszanowania uśmiechem.

— Signore Mamerto chciał poznać was, dzieci. To jest prawdziwy dobroczyńca naszego skromnego kościółka w San Popolo...

Mamerto chce mu przerwać niecierpliwym ruchem ręki, ale padre Lorenzo potrafi wykorzystać każdą sytuację.

— Signore Mamerto obiecał wybudować nową kaplicę dla świętego Antoniego... Si, taką nową, piękną kaplicę... ecco... Oto jest dar, godny tego świętego, który opiekuje się zagubionymi duszyczkami... Tak czci się teraz Boga, bambini... Capisco?...

Dzieci wlepiają w Mamerta oczy pełne podziwu i uwielbienia. Mamerto kręci w ręku niecierpliwie kapelusz. Uśmiecha się, jak sztubak złapany na gorącym uczynku.

Giuliana przybladła i wlepiła weń zaczarowane oczy. Inaczej zupełnie wyobrażała sobie tego strasznego Mamerta, o którym ludzie opowiadali dziwne historie. Jak pośpieszny pociąg przebiegają jej przed oczami: Chiara z wydętym brzuchem; ojciec, na którego rękach nie mogą zagoić się rany; mały, głupawy Giovanni — Przybłęda, o którym słuch zaginął; wreszcie garbaty Valentino... Otwiera szerzej oczy i widzi, że Mamerto patrzy na nią niebieskim, łaskawym spojrzeniem. Giulianie łopoce w piersi serce.

— Madonna...

Przeskakuje przez krąg siedzących dzieci i przyklęka przy księdzu Lorenzo. Padre zdumiony jej zachowaniem gładzi ją po głowie.

— Czy chcesz czego, Giuliana?... To jest Giuliana - bajarka — mówi do Mamerta, biorąc ją pod brodę. — Płaczesz?... Co ci jest, Giuliana?

Giuliana potrząsa głową.

— Niente, padre... Nie będę mogła pójść do Komunii...

Padre cofa swą rękę. Wielka dobroć zmienia się teraz w wielkie zdumienie.

— Nie, padre... Ja... ja popełniłam straszny grzech...

— Grzech? — Padre kładzie ponownie ciepłą dłoń na jej głowie. — Opowiesz mi wszystko na spowiedzi, Giuliana... Ludzie stale grzeszą — spogląda na Mamerta, któremu w oczach zapalają się jasne punkciki.

— Ale to jest wielki grzech, padre...

Ksiądz Lorenzo jest bardzo zdziwiony.

— Wielki grzech, Giuliana?...

— Si, padre. Uprowadziłam owcę, padre...

— Ty?... Owcę? Giuliana?... — Padre Lorenzo robi mimo swej tuszy ogromny wysiłek i naginą wielkie ciało w dół, do dziewczyn-

KAZIMIERZ W. OLSZEWSKI

Dziecko — decyzja dojrzała

AUTOR niniejszej wypowiedzi stoi przed zadaniem ogromnie trudnym. Każdy głos ze strony katolika w sprawie regulacji urodzin jest już dziś czymś w rodzaju wywalania otwartych drzwi. Poza tym nie można rościć pretensji do wyczerpania kwestii dyskutowanej od lat, ciągle powracającej i związanej ściśle z zagadnieniami obyczajowymi, jednym krótkim artykułem. A jednak nie da się zaprzeczyć, że prasa, szczególnie prasa katolicka, musi właśnie teraz zająć określone stanowisko wobec spraw, które niewątpliwie są dziś osią całej, jeśli jeszcze publicznie nie ujawnionej, to podskórnej kampanii rozgrywającej się w naszym społeczeństwie. I by nie zawężać problemu — absorbuje on cały niemal świat i dlatego nie można zaniedbać oświetlenia tych spraw z punktu widzenia światopoglądu katolickiego.

Pytanie: Czy w ogóle zagadnienie regulacji urodzin mieści się w tym światopoglądzie? I odpowiedź będąca raczej przypomnieniem spraw dawno już ustalonych: Mieści się i to jak najbardziej. Wobec zgodnej z prawami natury regulacji urodzin, Kościół zajmuje stanowisko najzupełniej aprobujące. Jest niezaprzeczalnym faktem, że popęd płciowy służyć ma w pierwszym i najbardziej istotnym sensie dawaniu nowego życia, a małżeństwo istnieje po to przede wszystkim, aby tworzyło i wychowywało potomstwo. Najsurowsze jednak zasady moralności katolickiej nie ograniczyły współżycia cielesnego tylko do konieczności płodzenia. Naukowo dowiedziono już dawno, że istnieją powtarzające się regularnie w życiu kobiety okresy, w których organizm jej nie może ulec zapłodnieniu. Mało, są one znacznie dłuższe niż okresy płodne. Takie jest prawo natury, a żadne jej prawo nie stoi w sprzeczności z prawami boskimi. Oto cytat z encykliki *„Casti connubii"* Piusa XI: „Także i ci małżonkowie nie sprzeciwiają się naturze, którzy w całkiem naturalny sposób czynią użytek ze swych praw, aczkolwiek z ich działania z powodu naturalnych okoliczności, bądź to • pewnych czasów (tzn. wspomnianych okresów bezpłodności), bądź też z pewnych ułomności nowe życie powstać nie może. Małżeństwo bowiem i używanie go obejmuje jeszcze drugorzędne cele, jak wzajemną pomoc, wzajemną miłość i uśmierzanie pożądliwości. Do tych celów wolno małżonkom dążyć, jeśli tylko przestrzegają prawidłowości owego aktu i podporządkowują go celowi pierwszemu". Z nowszych i oficjalnych wypowiedzi można wspomnieć o kongresie rodzin katolickich przed czterema laty, na którym Pius XII potwierdził „słuszność", a jednocześnie i granice, w rzeczywistości bardzo szerokie, regulacji potomstwa.

Tak więc sprawa naturalnej regulacji urodzin nie jest w niczym sprzeczna z moralnością katolicką. Jak wszędzie jednak, trzeba i tu zrobić pewne istotne zastrzeżenia: zagadnienie to łączy się niewątpliwie z koniecznością głębokiej rozwagi i rozpatrzenia sprawy zgodnie z własnym sumieniem. Dlatego wiele tu zależy od właściwego pionu moralnego społeczeństwa, od świadomego stosunku człowieka do tych spraw niezmiernie delikatnych. Nie wolno rozumieć przedstawionego tu stanowiska Kościoła jako „placet" wobec legalnego nadużywania zmysłowego bez ponoszenia naturalnych konsekwencji, ani też autor artykułu nie chce być ogłoszony zwolennikiem małżeństw bez lub małodzietnych i propagatorem kalendarza „Ogino - Knaus" dla celów mało mających wspólnego z istotnymi prawami natury i zasadami moralności. Chodzi o co innego: o przypomnienie ludziom ich własnych praw opanowywania ślepej rozrodczości jak najbardziej zgodnie z naturą, przy współudziale ich rozsądku i delikatnego sumienia. Chodzi również o przypomnienie niezwykle pozytywnych momentów. Jest to choćby fakt świadomego macierzyństwa i ojcostwa w małżeństwie, które chce mieć dziecko właśnie teraz i wie o tym, iż istnieją w życiu kobiety okresy, w których organizm jej jest do tego szczególnie predystynowany. Moment inny — to przezwyciężenie upokarzającego stanu rzeczy, w którym małżeństwa godzą się z przyjściem na świat dziecka jako z przysłowiowym „dopustem Bożym". I jeszcze: należy sobie życzyć, aby jak najmniej dzieci rodziło się „z przypadku", czemu przecież przysłuży się należyte uświadomienie obojga rodziców. I wreszcie nie wydaje się, aby sprawę rozstrzygały środki antykoncepcyjne w samej swej istocie (nie mówiąc już o stanowisku wobec nich katolika), zaprzeczające estetyce zdrowego życia seksualnego. Autor artykułu z „Vie Nuove" pisze... „w Stanach Zjednoczonych i w Anglii, wiele zamężnych kobiet przygotowuje swe aparaty antykoncepcyjne jednocześnie z toaletą nocną..." Nie można powiedzieć, aby środki te stanowiły zbyt piękną oprawę dla miłości. Jest nią za to niewątpliwie przestrzeganie w sposób rozsądny pewnej wstrzemięźliwości w małżeństwie, na której oparta jest zdrowa i moralna koncepcja naturalnej regulacji urodzin.

Jak zapatrują się na tę sprawę na całym świecie — objaśnia cytowany już artykuł z ‚Vie Nuove" pt. „Regulacja urodzin". W Danii, NRD i Niemczech zach., w Norwegii, Holandii, Szwajcarii, w Stanach Zjednoczonych, Anglii propaguje się regulację urodzin; w krajach tych istnieją specjalne kliniki dla celów regulacji urodzin, przy tym w Anglii działa w tej dziedzinie „Family Planning Association", organizacja popierana przez władze duchowne. W planie pięcioletnim Indii przewidziano kredyty w wysokości jednego miliona trzystu tysięcy dolarów na otwarcie specjalistycznych klinik dla kontroli urodzin, w Chinach, wszczęto kampanię w celu jej wprowadzenia w życie; można zresztą cytować takie przykłady jeszcze długo.

Oczywiście z takiego stanu rzeczy należy wyciągać właściwe wnioski. W różnych krajach, różne powody wpłynęły na rozszerzenie się akcji uświadamiającej o możności regulowania potomstwa. W innych, różne względy spowodowały masowe rozpowszechnienie środków antykoncepcyjnych. Pierwszym wnioskiem powinno być uświadomienie sobie, że sprawa regulacji urodzin niemal tak stara jak historia, rozrasta się i zmienia swoje oblicze wraz z postępem cywilizacji i kultury, ze zmianami ekonomicznymi i społecznymi. W czasach barbarzyńskich i starożytnych zagadnienie kontroli urodzin rozwiązywano niejednokrotnie za pomocą mordowania niemowląt, w czasach Malthusa na drogę walki ze ślepą rozrodczością zaprowadziła jego i jego zwolenników błędna obserwacja życia społecznego i gospodarczego. Dzisiaj sprawa polityki populacyjnej należy do kardynalnych problemów społecznych. W niektórych krajach ustawodawstwem i polityką populacyjną kierują względy zdrowotne społeczeństwa, w niektórych społeczeństwach sprawę rozstrzyga wysoki poziom moralny i kulturalny. To ostatnie zresztą jest zasadniczym i istotnym względem, jaki warunkuje dobrze pojętą propagandę o regulacji urodzin w oświetleniu światopoglądu katolickiego i nauki Kościoła.

Tak więc wygląda krótko scharakteryzowane odbicie omawianego problemu w świecie. Sprawą etyki i estetyki osobistej jest dla ateisty zajęcie stanowiska wobec stosowania środków antykoncepcyjnych. Sprawą sumienia natomiast oraz zgodności z naturą i zasadami religii jest dla katolika przyjęcie dozwolonej przez Kościół naturalnej metody regulacji urodzin. Sprawą wreszcie wspólnej odpowiedzialności za świadomą ingerencję w ślepą rozrodczość natury jest dla ludzi tak wierzących, jak niewierzących umiejętność rozsądnego kierowania liczbą swego potomstwa.

I teraz krótko: jakie stąd płyną wnioski odnośnie tych zagadnień w naszej rzeczywistości. Jest to niewątpliwie kwestia trudna do rozstrzygnięcia. Po pierwsze dlatego, że nasze społeczeństwo dzieli się na niewierzących i wierzących, a więc państwo rozstrzygnie tę sprawę mając na uwadze przede wszystkim względy gospodarcze, zdrowotne czy społeczne. Po drugie, upewnienie społeczeństwa polskiego, iż Kościół zajmuje stanowisko przychylne wobec naturalnej regulacji urodzin, wywołała tylko u jego części katolickiej uczucie ulgi czy aprobaty — część ateistyczna społeczeństwa może się tylko w tym miejscu uśmiechać, uważając za o wiele lepsze, bo pewniejsze wszelkiego rodzaju środki antykoncepcyjne.

Mimo wszystko chciałbym tu podkreślić, iż rozsądna propaganda właśnie naturalnej regulacji urodzin ma pewne pozytywy, których nie mają inne metody kontroli potomstwa. Są to niewątpliwie walory estetyczne i zdrowotne; o estetycznych mówić chyba szerzej nie trzeba. O zdrowotnych warto może najwyżej wspomnieć, że zarówno środki antykoncepcyjne jak i częste poronienia są przeważnie szkodliwe dla zdrowia, gdy rozsądna i piękna w swej istocie pewna wstrzemięźliwość nigdy nie wpływa ujemnie tak dla zdrowia kobiety, jak i mężczyzny.

Katolicka koncepcja właściwie pojętej akceptacji zgodnej z naturą regulacji urodzin nie wyraża się absolutnie w zamiarze propagowania korzystania z tzw. „kalendarza" w celu uniknięcia potomstwa w ogóle, lub jego nieuzasadnionego ograniczania. Moralne życie seksualne łączy się z ponoszeniem odpowiedzialności za jego konsekwencję. Ale nauka Kościoła nie zasadza się na absurdzie; nie chodzi o to, aby zmusić kobietę do poddania się niczym nieograniczonej rozrodczości, przez niezliczoną ilość porodów tylko dlatego, że żyje ona w małżeństwie. Trudno jest wymagać od przeciętnego małżeństwa, aby miało tyle dzieci, ile się im „przydarzy", zakładając, że obowiązkiem rodziców jest dać im zdrowie i troskliwą opiekę. Kościół bierze pod uwagę i warunki finansowe ludzi, i ich zdrowie, my zaś na razie borykamy się niejednokrotnie z dużymi trudnościami. I dlatego trzeba tę sprawę rozpatrywać ogromnie sumiennie i rozważnie, trzeba umieć oddzielić istotną potrzebę regulacji potomstwa od chęci wymigania się spod pierwszorzędnego celu małżeństwa, jakim są dzieci. Trzeba postawić cały nacisk w przyjęciu prawdziwie katolickiej postawy na rozsądne i celowe macierzyństwo i ojcostwo. Jeśli taką postawę przyjmiemy, będziemy na pewno zgodni z nauką Kościoła i prawami natury.

Jakie pozytywne wnioski płyną z powyższych rozważań? Jeśli mówi się o konieczności regulacji urodzin, jeśli dyskutuje się sprawy polityki populacyjnej w naszym kraju, godna rozpatrzenia wydaje się kwestia mądrej propagandy. Potrzebna jest akcja oświatowa, wychowawcza, uświadamiająca. Nie wstydźmy się — potrzebne są popularne wydawnictwa choćby kalendarza „Ogino-Knausa". Potrzebne są takie kliniki regulacji urodzin, jakie istnieją w wielu krajach, gdzie udziela się fachowych i uczciwych informacji, jak korzystać z metody naturalnej regulacji urodzin. Potrzebne są artykuły, publiczne wykłady, specjalne informacyjne poradnie, choćby przy poradniach „K", w postaci poszczególnych urzędujących tam osób posiadających wiedzę fachową. Przecież na polskiej wsi nigdy nie słyszano o odkryciu japońskiego i austriackiego lekarza.

I jeszcze raz podkreślam — potrzebne jest wysokie poczucie odpowiedzialności, delikatne sumienie oraz mocny pion moralny rodziny.

DEI GUALANI

ki. Patrzy na nią szukając jej oczu, lecz w tej chwili wpatruje się z przerażeniem w Mamerta.

— To była owca... to była owca Valentina... — szepce Giuliana zwiędłymi wargami. Przytrzymuje mocno trzepocące się w piersi serce i modli się po cichu: — Santa Maria... spraw, aby mi uwierzył...

Mamerto nie od razu rozumie jej słowa. Dopiero po chwili, gdy padre Lorenzo wyprostował swe wielkie, nabrzmiałe zgorszeniem ciało, Mamerto zrozumiał, że chodzi o jego dobro. Zaciska oczy, które lekko mu przyciemniały.

— Ukradłaś owcę? Ty?

Giuliana patrzy nań długo.

— Czy ty wiesz, że to jest moje stado? Valentino jest moim pastuchem... — Mamerto traci cierpliwość i swą powagę.

— Dla kogo uprowadziłaś owcę? Dla ojca? Jak on się nazywa?

Padre Lorenzo spieszy z wyjaśnieniem. Trzepoce zafrasowanymi rękami:

— To jest córka Pietra, waszego dzierżawcy, signore... Siostra Chiary, która kiedyś u was służyła...

Mamerto zaciska zęby. Schyla się i przyciąga ją za rękę do siebie. Giuliana czuje zapach brylantyny, zlepiającej mu włosy. Wpatruje się w jego rozlaną twarz. Widzi nawet szerokie, przetłuszczone pory na obwisłych policzkach i czuje jego gorący, niepokojący oddech.

— Nazywasz się Giuliana?

Giuliana potakuje głową.

— Dla kogo uprowadziłaś owcę? Dla ojca? Czy wiesz, ile warta taka owca?

Giuliana kiwa głową i zaczyna snuć swoją fantazję...

Padre Lorenzo spogląda na Mamerta. Wzrusza ramionami. W swej trzydziestoletniej praktyce kapłańskiej nie spotkał się jeszcze z podobnym przypadkiem.

— Signore Mamerto... To jeszcze dziecko...

— Dziecko? — Mamerto uśmiecha się nieco przyciemnionymi oczami. — To już nie dziecko, padre... To mała, wyrafinowana kobietka... — mówi wolno z namysłem. A rivederla, padre... — Odwraca się i szybkim, nie pasującym do jego powagi krokiem odchodzi.

Padre Lorenzo dostrzega wtedy wkoło siebie szeroko rozwarte, przerażone oczy dzieci.

— Santa Madonna... Bambini! — Unosi do góry, niemal do samych niebios, swe pełne ramiona. — Módlmy się, dzieci... In nomine Patris et Filii...

IV

UPALNA cisza, wisząca nad Benevento pęka wraz z pierwszym targnięciem katedralnych dzwonów. Spiżowe ich dudnienie spada na miasto jak grad. Wielkie odrzwia kościoła rozwierają się szeroko i na pusty dotychczas plac spływają po kamiennych schodach ostatnie akordy organów. Za nimi stacza się w dół kolorowy, rozkrzyczany tłum. Niedokończona modlitwa pozostaje na wysokich stopniach, starta z ust uśmiechem, gorącym jak stojące wysoko słońce.

U stóp kościoła tworzy się szeroki szpaler. Do pierwszych szeregów przepychają się rodzice i krewni dzieci, które przystąpiły po raz pierwszy do Komunii. Głośne brawa witają pierwszą parę. Najpierw idą dziewczęta. W długich, białych sukniach, z rozrzuconymi na ramiona włosami, drepcą wpatrzone w koniuszki złożonych jak do modlitwy rąk. Podobne są do zstępujących z ołtarzy aniołków.

Giuliana idzie na końcu. Zaczarowane oczy szukają z niepokojem rodziców. Pietro i Paola czekają na nią z boku, nie chcąc przeszkadzać radości bogatych. Ich radość święci się w zaułku i ma krótki, zdawkowy charakter. Paola jest blada i tuli wciąż Giulianę do siebie, a nawet ojciec, który nigdy nie pozwalał sobie na wybuch większej czułości, teraz popycha ją ręką przed sobą i od czasu do czasu gładzi jej gibki, śniady kark. Giuliana czuje chropowate, pełne szram ręce. Chciałaby je ucałować, ale nie śmie. Za dużo jest wokoło ludzi.

Dziewczynka jest jednak nieco zaskoczona. Zamiast do domu, w stronę San Popolo, ojciec popycha ją na rynek. Czeka tam już tłum ludzi. Giuliana jest ostatnia z dziewczynek i chłopców, ustawionych na nim długim rzędem. Wydaje jej się, że dzieci jest chyba z tysiąc. Zaczyna liczyć, nie rozumiejąc zrazu, po co tutaj stoją. Dopiero gdy matka tuli ją mocno i całuje w drżące usta, Giuliana kurczy się, jak ptak pod dotknięciem ludzkiej ręki. Rozumie już wszystko. Wie, że to ostatni pocałunek matki. Pobladła przymyka oczy. Przypomina się jej obrazek sprzed dwu lat, gdy rodzice przyprowadzili na rynek w Benevento Chiarę...

Giuliana boi się otworzyć oczy. Słyszy, jak obok ktoś nosowym, głębokim basem zachwala swój towar, a drugi zniecierpliwiony głos pyta tylko: ile?... ile?...

Giuliana nie wytrzymuje. Obraca się lekko w bok i przez wąską szparę w półotwartych powiekach widzi chłopca. Jest mały, krępy, piegowaty i niewiele robi sobie ze świata.

Nagle Giulianę wstrząsa dreszcz. Czuje na ramieniu zimną, obcą rękę. Obraca się i dostrzega wpatrzone w siebie niebiesko-ciemne oczy i szeroką, rozlaną twarz Mamerta.

Ojciec czyta z niepokojem w nieodgadnionym, zagadkowym spojrzeniu Mamerta, który taksuje wzrokiem dziewczynkę, jakby ją widział po raz pierwszy.

Pietro ciągnie Giulianę za rękę. Marszczy lekko brew i kiwa na nią głową.

— Jest silna, jak muł, signore... Giuliana, pokaż rękę... Signore widzi?

Mamerto patrzy chłodnym wzrokiem na nagą rękę dziewczynki. Giuliana łyka ze strachu ślinę i kuli się, lecz Pietro daje jej kułakiem w bok.

— A jakie ma mocne nogi, signore... Skacze cały boży dzień po wzgórzach... Może przebiec stąd do San Popolo i z powrotem bez zmęczenia... Si, signore...

Pietro sam unosi białą, muślinową suknię pokazując nogi Giuliany.

Mamerto schyla się, dotyka stopy dziewczynki, szczypie ją żartobliwie w łydkę, przesuwa ręką wyżej, klepiąc ją po udzie.

Giuliana wlepia weń przerażony wzrok. Mamerto nie ma teraz spokojnego, dobrotliwego wyglądu, jak na cmentarzu. Nawet wtedy, gdy mówiła mu o ukradzionej owcy, był tylko trochę zdenerwowany. Teraz jego blada, tłusta twarz ożywia się, policzki zapalają się lekkim rumieńcem. Ręka wprawnie, jak zimny wąż, wślizguje się pod jej sukienkę.

— Zęby! — rzuca cicho.

Pietro chwyta Giulianę za brodę.

— Otwieraj, presto!

Giuliana wie, że nic jej już nie uratuje. Szuka niespokojnym wzrokiem matki, lecz Paola zginęła w rozkrzyczanym, kolorowym tłumie. Wokoło są sami obcy, nieznajomi ludzie; padają okrzyki, liczby, słychać szelest banknotów i płacz dzieci.

— Ile? — pyta się krótko Mamerto.

Ojciec milczy. Waży widocznie w głowie liczbę.

— Signore... — mówi cicho, wyjmując z kieszeni zgięty w czworo papier.

Mamerto wie, o co mu chodzi, ale czeka cierpliwie, aż Pietro wyłoży całą sprawę.

— Dodajcie, signore, jeszcze parę tysięcy... Trzy tysiące... dwa... i zniszczcie ten papier... — Pietro trzyma w dłoni los całej rodziny. Ręka zaprawiona tylko do łopaty i motyki nie może utrzymać małego arkusza. Papier spada na ziemię.

Mamerto milczy i wpatruje się w Giulianę.

— Signore... — Pietro podchwytuje jego wzrok i mówi gorączkowo. — Prawda, jaka zgrabna. A silna? Umie szyć, gotować, doić owce...

— Si... — Mamerto jest skąpy w słowach. — Kupuję ją. Ale za cenę tylko tego długu. Ani lira więcej. Ona jest mi winna więcej niż trzy tysiące lirów...

— Co?! — twarz Pietra nabrzmiewa krwią. — Ona jest winna? Giuliana?

— Basta! — Mamerto przerywa targ. — Bierzecie?

Pietro ma nieprzytomny wzrok. Ciska nim to w lewo, to w prawo, z Mamerta na Giulianę i z powrotem. Nie rozumie nic...

— No co, zgoda? Będzie pasła owce zamiast garbatego Valentina..

Mamerto wyjmuje Pietrowi z ręki papier, drze, a potem uderza go w dłoń. Targ jest skończony.

Giuliana szuka niespokojnym wzrokiem twarzy ojca, lecz Pietro nie patrzy na nią. Stoi skulony, trzymając oczy wbite w ziemię. Giuliana żegna go cicho:

— Pappa...

Mamerto ciągnie ją za sobą. Idą w ślad za innymi ludźmi, którzy zakończyli na rynku swoje interesy. Mamertó kroczy powoli, jak wielki pan; wszyscy go tutaj znają i ustępują mu z drogi.

Giuliana czuje z tyłu nieśmiałe dotknięcie. Obraca się. Zaczarowane, smutne oczy zapalają się radością.

— Dziadek Paolo... — szepce szczęśliwa wyciągając do starca ręce.

Paolo dopada do niej ukradkiem. Stara się ją objąć w niemym uścisku, ale wykręcone ręce nie chcą się z sobą dopasować. Paolo ma czerwone z płaczu oczy. Broda drży mu ze wzruszenia.

— Giuliana.. mia piccola Giuliana... — sepleni pakując jej coś do ręki. W pośpiechu ślini ją swymi bezzębnymi ustami i zaszywa się w tłum jak złoczyńca.

Giuliana stoi jak zaklęta. Unosi do oczu dłoń. Śmieje się do niej zaczarowanymi oczami. Na jej dłoni błyszczy złocista pomarańcza...

— Giuliana!

Dziewczynka wzdryga się na suchy, ostry głos. Podrywa się i dopada jak pies swego pana. Mamerto wskazuje jej palcem grupę stojących pod kościołem dzieci. Giuliana idzie potulnie i staje w ostatnim momencie, przed rozległnięciem się srebrnego dzwonka.

Z kościoła wychodzi grupka księży, przybranych w odświętne, wzorzyste komże i ornaty.

Siwy, podobny do dziadka Paolo, ksiądz trzyma w ręku kropielnicę. Mały chłopiec podaje mu święconą wodę. Giuliana widzi uduchowioną twarz księdza uniesioną do góry w modlitwie, przymknięte powieki i wargi, szepcące szybko łacińskie wyrazy.

Na wybladłą twarzyczkę dziewczynki spadają zimne, święte krople. Wkoło panuje dostojna cisza...

Z tyłu, zza staruszka-księdza, wysuwają się teraz jego dwaj towarzysze. Każdy z nich zbliża się do dziecka i obdarza je święconym przedmiotem. Gdy jeden z nich, tęgi, wysoki, podchodzi do rzędu, gdzie klęczy Giuliana, dziewczynka unosi błagalnie ręce.

— Padre Lorenzo... — szepce — Padre Lorenzo...

Ksiądz zatrzymuje się koło niej dłużej.

— Giuliana?... — szepce zdziwiony

Unosi ręce nad głową dziewczynki.

— Giuliana — bajarka?... Ecco... Do pracy idzie się zawsze z Bogiem... Si, mia cara... In nomine Patris et Filii... — robi nad nią znak krzyża i wsuwa jej w rękę święcony obrazek.

Giuliana przyklęka, gdyż czuje, jak w tym momencie wielki ciężar stacza się jej na ramiona...

— Amen... — mówi cicho, wpatrując się w obrazek. Spogląda na nią twarz smutnej Madonny.

*

U dołu, na pamiątkę uroczystości wydrukowano napis: Anno Domini 1953 — La festa dei Gualani — święto niewolników...

Poezja jest rzeczą codzienną

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA GDAŃSK
CW 9013

JÓZEF SZCZAWIŃSKI

Poezja jest rzeczą codzienną

Poezja jest rzeczą codzienną,
jest ziemią, powietrzem, cegłą.
Przez nią przefruwa ptak,
tramwaje po niej biegną.

Rozwiesza zgubione niebo,
na oczach, kominach i płotach,
tnie okrzykami flag
na ukos gazet brzydotę.

Rankiem dmie w rogi ulic,
znad dachów dymy płosząc.
Do nieba przypina głos
pineską samolotu.

Poezja jest rzeczą codzienną
w krainie kolorów i dźwięków,
niefrasobliwa jak potok
i bolesna jak piękno.

Płoszy ją deszcz i chromy wiersz
i światła bat spleciony z barw
i zaplątany w kroki wiatr.
Nastawmy dłonie — kropla dnia
upadnie w nas
zamilknie w nas.

Poezjo liściu umierający,
Poezjo liście oczekiwany,
Milczenie nam na usta strącasz,
otwierasz cztery świata ściany.

Strugo wieczorna dla zmęczonych,
wesołe popołudnie dzieci.
Rybaku, co zagarniasz w sieci
nasz świat.
A sieci mają oka gwiazd,
i oczy mądrych kobiet
zatrzymujące wielkość...

Poezja jest rzeczą codzienną,
zna mowę codziennych wydarzeń,
co dzień do domów ją rozwożą
na jednej wadze z chlebem ważą.

ZBIGNIEW DOLECKI

Portret śmiertelny

Łóżko jak skrzynia gwoździ
Boli
A jeszcze bardziej przypomnienie
dnia w kotlinie jałowcowej
skąd poprzez miękką sierść wzgórza
widać było dymy kolacji matczynej
i słychać skrzyp drew
pod siekierą ojca.

Wtedy słodycz
sącząca się spoza żagli chmur
kazała wypuścić
trzymanego w dłoni zimorodka
wyjętego przed chwilą z pętli.
Spojrzenie z tęsknotą
za nim się wzbiło
do mórz wysokich
ponad jodłami...

On później:
czternaście tysięcy sześćset trzydzieści siedem razy
jadł śniadanie obiad i kolację.
Tyleż razy mył się golił i zmieniał skarpetki
i tyleż razy mówił dzień dobry i dobranoc.
Zużył osiemdziesiąt trzy garnitury i tyleż par butów
Miał dwieście czterdzieści osiem kobiet
Był trzy tysiące razy na wódce
cztery tysiące sto trzynaście w kinie

Przeżył
miliard dwieście sześćdziesiąt jeden milionów
czterysta czterdzieści siedem osiemset trzydzieści pięć
sekund
nie żyjąc.

On
żył tylko dwanaście lat
i tę chwilę
przed opadnięciem głowy
w biel
przepastną.

BARBARA EYSYMONTT

Ballada o perszeronie

Leszkowi Kossobudzkiemu

Czy pamiętacie perszerona?...
Czy pamiętacie perszerona —
Mordą do ziemi opuszczona
I łysy kark, i grube nogi,
Idzie i duma, i ogląda
Wystawy, okna, ludzi, drzewa
I płot, i jezdnię, i kamienie...
Idzie i duma, czasem drzemie,
A kiedy indziej — wierzcie — śpiewa...
Czy pamiętacie perszerona,
Kiedy przyśpiesza tęgo kłusa
I zęby żółte wznosząc w górę
Rży nieborzyście i zadziornie,
A o zmierzchaniu staje się chmurą,
Która kobyłę w moc zagarnie,
W całą omdlałość i zadziwienie
Wiernego pyska, osłupiałych oczu?...
Czy pamiętacie perszerona,
Kiedy poważnie zboczem krocząc
Świszcze piosenkę o Gawroche'u,
Dudni kopytem po równinie —
A stara łza po lejcach płynie
I w chlupot deszczu włącza patos?
Czy pamiętacie perszerona,
Gdy wiernie kopytem przechodzi przez lata,
Przez zimy długie i mgielne jesienie?
Czy pamiętacie, jak przy żłobie drzemie,
Perszeronowe sny miesza z obrokiem? —
...Ostatni z wielkich zdechnie gdzieś pod płotem,
Więc zanim się stanie zamierzchłą balladą
Przemijającym pokłońcie się śladem
I w godzinę pamięci zmówcie wierszyk mały:

„Umarłym perszeronem nie gardźcie, potomni
Bowiem łatwo jest minąć i łatwo zapomnieć —
Trudno jednak wskroś koniom
Zostać w myśli czyjejś...
Perszeron to był skromny — lecz wierzył w motyle"...

ANNA POGONOWSKA

My ciała doznające

My, ciała doznające, w podniesieniach świtów,
W zapaściach nocy, w gwałtach żądz, w płomieniach rozkwitu
Róży — Woń jej jak sen żelaznymi skrzydły
Ciąży nad naszą jawą. I płaczemy „Nigdy —
Nigdy już —". Popiół kwiatu niby proch feniksa
Zapłoni się wiecznością w godzinę zmartwychwstań.

Cóż jeszcze? Pod chmurami prującymi niebo,
Skuci wolą instynktu, darem Najwyższego,
Przez powietrza otchłanie, przez spiętrzone miasta.
— Morza u stóp nam rosną, grzebień gór wyrasta —
Idziemy. Łany w dole chłodzi wiatr i strugi
Strumieni pożegnaniem srebrzą się czas długi.

A kiedy noc zawyje, gdy miecz nas przeszyje,
Kiedy nicość wężową, lśniącą nagnie szyję,
Stajemy — głazy, piorun obłąkany w ciałach
Wiruje niby gwiazda, co się nie zapala.
Skamieniali jak okrzyk, który milczeć musi,
Czekamy, aby Stwórca zakazał nam kusić.

Rys. Gabriel Rechowicz

ANDRZEJ PIOTROWSKI

Ucieczka z Werony

Z białych kościołów biją dzwony
królewska straż na rozkaz czeka
uciekła Julia z synkiem drobnym
i stoi bosa nad jeziorem

A tam się rodzi nad jeziorem
cisza skupiona cisza bliska
rodzi się kamień łza i ptak
i ryba która trwa w milczeniu

A wody falą wstają srebrną
I matka dziecku pierś podaje
pierś zawstydzoną wczesnym chłodem
która jest owoc życie wieczność

A dziecko już nie umie płakać
patrzy na wodę karmi ryby
chciałoby dotknąć ptasich skrzydeł
i ptaki schodzą mu do rąk

Ryby rysują kruche kółka
i odpływają na dno w piasek
a fala nogi myje bose
spuchnięte nogi małej Julii

i tak leniwym grzbietem płucze
krwawiące stopy palce biedne
uśmiecha się Romeo żywy
co mówi kogo wzywa znakiem

A na rumakach złotogrzywych
na koniach straż królewska pędzi
powtarza woda cienie zwinne
powtarza powrót błękit głębin

Z białych kościołów płaczą dzwony
i matka płacze płacze ojciec
nie przywiózł Julii i jej synka
wysłany nad jezioro pościg.

JACEK ŁUKASIEWICZ

Pisz mi słowo...

Pisz mi słowo w wiolinie.
Ręką nakreśl znak prosty
jeden jak drzewo
roześmiane na jesieni.
Daj mi jabłuszko winne
z winnej wyjęte czerwieni,
z ogromnego nieba,
które zachodzi.

Tam jest smuga błękitu,
na nim złoty położyła kłos
czyjaś dłoń.
Ty z tego słońca potężnego
pisz mi słowo.

Tak pisał Chopin,
kiedy był zmęczony.

ZBIGNIEW ZALEWSKI

Dyrygent

Mały
dyrygent otworzył
ściany —
podmuch ziemi zoranej
klęknął.
Muzyka
poczęła kiełkować
światłami.

Góry
rozrosły w ocean —
powietrze na przestrzał.
Jak dobrze, że skrzydeł
nie mam
piąstko ściśnięta
z kruszynką szczęścia.

STANISŁAW GROCHOWIAK

Lepiej

Lepiej by było w wiatraku zamieszkać,
A jeszcze lepiej w latarni na morzu.
A lepiej myszką w białomącznych mieszkach,
A jeszcze lepiej pchłą się wtulić w kożuch.

Dobrze by było u Barnaby w brodzie
A jeszcze lepiej u Boga za piecem,
Dobrze by w łasce opływać jak w miodzie
Albo jak strucla, albo też jak precel.

A tutaj wiatrak skrzypi chuderlawy,
Latarnia blasku na morze nie rzuca,
Wiatr myszką wbiega w za duże rękawy
I ból pulsuje czarną pchłą na płucach.